



BRAMY POWIATU

BRAMY POWIATU

KWARTALNIK NR 2(21)

CIECHANÓW 2024





Grażyna Czerwińska – absolwentka etnografii na UW, pracownik Wydziału Promocji, Zdrowia, Sportu i Spraw Społecznych w Starostwie Powiatowym w Ciechanowie.

Dr Tomasz Czerwiński – etnograf, Szkoła Główna Turystyki i Hotelarstwa Vistula w Warszawie.



Jan Andrzej Kaluszkiewicz – starosta ciechanowski; muzyk i pedagog, autor, działacz społeczny; członek niezapomnianego zespołu muzycznego „Kolumbowie”, wieloletni juror w przeglądzie „Majowe muzykowanie” w Wątkowie.

Marzena Janina Kowalik – od 40 lat mieszka w Gdańsku, ale jej serce nigdy nie wyjechało z Północnego Mazowsza. Poszukiwaczka i kolekcjonerka „rodowych sreber, oczarowana poźółkłą fotografią”.



Wydawca:

Starostwo Powiatowe w Ciechanowie
ul. 17 Stycznia 7, 06-400 Ciechanów
www.ciechanow.powiat.pl
ISSN 2657-7615

Skład i druk:

Drukarz Sp.j.
ul. Towarowa 2, 06-400 Ciechanów
tel.: 23 672 71 12; www.drukarz.net.pl



SPIS TREŚCI

OD REDAKCJI.....	5
<i>Grażyna Czerwińska</i> Z KART HISTORII.....	6
<i>Janina Białkowska, Teresa Michałowska-Majlert</i> AKADEMIA CIECHANOWSKA DOKTORA JANA NIELUBOWICZA.....	8
<i>Grażyna Czerwińska</i> ZAPOMNIANI... JÓZEFAT GRZYBOWSKI.....	12
<i>Andrzej Kaluszkiewicz</i> ROMAN KUŚMIERSKI	15
<i>Marżena Janina Kowalik</i> ZAPOMNIANY PALADYN Z KOBYLINA.....	28
<i>Tomasz Czerwiński</i> Z ETNOGRAFICZNEJ TEKI O ZABAWACH, GRACH I FOLKLORZE SŁOWNYM DZIECI WIEJSKICH.....	38







OD REDAKCJI

Ile tajemnic wciąż skrywa przed nami historia! Staramy się odkryć chociaż drobne okruchy, fragmenty z przeszłości naszej małej Ojczyzny. Materiały zamieszczone w bieżącym numerze kwartalnika „Bramy powiatu” obejmują okres ponad dwustu lat. To szmat czasu w skali życia człowieka, ale niewiele wobec całej historii miasta i powiatu ciechanowskiego.

Przypominamy naszym Czytelnikom zapomnianą, ciekawą postać jednego z włodarzy Ciechanowa sprzed ponad dwustu lat. Były to trudne lata dopiero co utraconej niepodległości. Dzieje Grzybowskiego jasno pokazują, że walka z naszymi przywarami społecznymi nigdy nie była łatwa. Obraz funkcjonowania dziewiętnastowiecznego samorządu oraz nie ustające dążenia do zachowania polskości przybliży również opowieść, stanowiąca kontynuację burzliwych losów Konstantego Siecińskiego. Jest to wzorcowy portret patrioty, przedstawiciela postępowego ziemiaństwa z powiatu ciechanowskiego.

Starsi mieszkańcy pamiętają dawny szpital, mieszczący się w poniemieckich blokach przy ul. Sienkiewicza. Nie wiem jednak, czy ktoś jeszcze pamięta niezwykłą Akademię Ciechanowską Doktora Jana Nielubowicza. Zachęcam do przeczytania wspomnień o tym niestandardowym przedsięwzięciu.

Odbывające się w Watkowie XIX Mazowieckie Majowe Muzykowanie ma od kilku edycji swojego patrona. Jest nim uczestnik pierwszych przesłuchań, wielokrotny zdobywca tytułu Harmonista Roku, wielki miłośnik tego instrumentu. Warto poznać bliżej tę postać.

Na koniec wspomnienia z dzieciństwa. Wszyscy byliśmy dziećmi, ale bieżący numer kwartalnika uświadamia nam, jak bardzo zmieniły się czasy. Są inne zabawy, zwyczaje, całkowicie odmienne jest wychowywanie małego człowieka. Czy wszystko jest lepsze? Życzę Państwu przyjemnej lektury.

Starosta Ciechanowski

Jan Andrzej Kaluszkiewicz

Z kart historii



Lipa

Polska. Warszawa 31 grudnia. Jenerał-Adjutant Hrabia Wincenty Krasiński wyjechał z Warszawy dla zwiedzenia województwa Płockiego i Augustowskiego, skąd pospieszy do Petersburga.

(Korespondent Warszawski, 1831)



Za konie dostarczone na stację pocztową w Szekowie i stację przepręgowe pod przejazd Jego Cesarskiej wysokości Arcyksięcia Austriackiego Wilhelma nastąpiony, zapłatę otrzymują: Łempicki dziedzic Malużyna rsr 11, Sylwan Grabowski dziedzic Luszewa rsr 9, Boski z Wkry rsr 8, Wojciech Betha z Rumoki rsr 10, Wiktor Głinojecki z Obręba rsr 5 kop. 82 ½.

(Dziennik Urzędowy Guberni Płockiej, 1855)



Nowa cukrownia. „Korespondentowi Płockiemu” donoszą z pewnego źródła, że grupa kapitalistów warszawskich zamierza wybudować nową cukrownię we wsi Konopkach, w Mławskim, przy stacji kolei żelaznej Nadwiślańskiej. Położenie wskazanej miejscowości odpowiada najzupełniej wszelkim wymaganiom tego rodzaju przemysłu fabrycznego. Miejscowość ta otoczona wieloma folwarkami, produkującymi

po kilka tysięcy korcy buraków rocznie, posiada komunikację kolejową, lasy, torf i wodę dobrą na miejscu oraz w bliższej i dalszej okolicy glebę odpowiednią do plantacji buraków na szerszą stopę. Zapewne wkrótce rzecz ta stanowczo postanowiona zostanie, aby z początkiem wiosny można było przystąpić do rozpoczęcia budowy fabryki i zawarcia kontraktów z plantatorami.

(Słowo, 1883)



Roboty około budowy szosy z Pułtuska do Ciechanowa postępują szybko. Szosa istniała na przestrzeni 21 wiorst, pozostaje jeszcze 14 wiorst. Część szosy tej zaczyna się od wsi Wróblewo i przechodzi dalej przez wsie Gostkowo, Nasierowo, Pianki, Morawy, Gogole, Kałęczyn, Gołymin stary i nowy, Osiek górny. Plant już gotów, większą część kamieni zwieziono, obecnie tłuc je zaczęto. Szosa ma być ukończona w ciągu 18 miesięcy.

(Kurier Warszawski, 1900)



Lasy Ordynacji „Opinogóra”, gubernia płocka, powiat ciechanowski. Sprzedaż drobnych działek w porębie na rok 1913-ty w rewirze Ościśłów liściasty w lasach ościśłowskich. W dniu 13-ym października r.b. o godz. 12-iej w południe na miejscu w lesie sprzedawane będą małe działki drzewa w ilości 23-ch w cenie od kilkudziesięciu rubli i wyżej, zawierające cienką sośninę, brzoźnę i olszynę, czyli w ogóle materiały zdatne na porządki gospodarskie dla włościan, drobnych rolników i rzemieślników. Bliższych szczegółów udziela na miejscu straż leśna. Nadleśnictwo Ordynacji „Opinogóra”.

(Zaranie, 1913)



Parafia Ciemniewko w powiecie ciechanowskim na Mazowszu jest niewielka, bo ma zaledwie dwa tysiące mieszkańców. Ludzie mają u nas na ogół dobre chęci. Świadczą o tem chętnie składane ofiary na kwestę pod hasłem „Ratujcie dzieci!” na zubożałą od wojny ludność Litwy i na inne sprawy. Mamy w parafii cztery szkoły i dwie ksiąźnice. Przed kilku miesiącami założone zostały dwa kółka rolnicze – we wsiach Ciemniewie i Burkatach. – *Jan Adamski*.

(Gazeta świąteczna, 1917)



Sprzedaje się 300 morgów ziemi pszenno-buraczanej, 5-morgowe działki, dogodnie warunki spłaty, blisko kościoła, drogi bitej, urzędu gminnego, 8 wiorst od stacji. Adres: Ciechanów, właściciel majątku Karniewa.

(Gazeta świąteczna, 1917)



Pełne prawa gimnazjów państwowych, przewidziane w § 2 tego rozporządzenia, [nadaje się] następującym prywatnym szkołom średnim na terenie b. Królestwa Kongresowego:

Gimnazjum filologicznemu męskiemu Rady Opiekuńczej w Ciechanowie.

(Dziennik Urzędowy Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, 1920)



Sokołowski Józef, mieszkaniec wsi Sarnowa Góra (gm. Sońsk, pow. Ciechanowski), rocznik 1898, zgubił książeczkę wojskową.

(Goniec Mazowiecki, 1923)



Istniejący od 1864 roku Browar Parowy Ciechanowski Sp. Akc. poleca doskonałe piwo jasne leżakowe i ciemne zakopiańskie. Dostawy własnym taborem do wszystkich miast okolicznych.

(Goniec Mazowiecki, 1923)



O studnię miejską, przy zbiegu ulic Kościelnej i Warszawskiej, nieczynną od kilku tygodni, dopominają się za naszym pośrednictwem mieszkańcy domów sąsiednich, którzy zmuszeni są czerpać wodę do picia z brudnej rzeczki Łydyni. Choćby ze względów sanitarnych, jeżeli już nie dla ułatwienia zdobywania wody przez obywateli, Magistrat winien co rychlej – jeszcze przed nastaniem mrozów – wskazać studnię miejską zreperować.

(Goniec Mazowiecki, 1923)



Karbowego, człowieka starszego, przyjmie zaraz majątek Sońsk (pow. Ciechanowski, st. kol. Gąsocin). Mieszkanie, opał, utrzymanie dwóch krów, drzewa 12 metrów, pensja i ordynacja – do umowy.

(Goniec Mazowiecki, 1924)



Obwieszczenie Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 11 maja 1927 r. o zmianie nazwy wsi Koziełły w powiecie Ciechanowskim w Województwie Warszawskim.

Niniejszym zmieniam nazwę wsi „Koziełły” gminy Regimin w powiecie Ciechanowskim w Województwie Warszawskim na „Kozłowo”. *Minister Spraw Wewnętrznych Sławoj Składkowski*.

(Dziennik Urzędowy MSW, 1927)



Zmiana starostów w Ciechanowie i Kutnie. Dowiadujemy się, że p. Witold Pełczyński, dotychczasowy starosta powiatowy w Ciechanowie został przeniesiony na stanowisko starosty w Kutnie. Dr Tadeusz Oborski referendarz w starostwie powiatowym w Nowym Sączu został przeniesiony do starostwa ciechanowskiego z równoczesnym powierzeniem kierownictwa tego starostwa.

(Express Mazowiecki, 1932)

Wybrała Grażyna Czerwińska



AKADEMIA CIECHANOWSKA

DOKTORA

JANA NIELUBOWICZA

Prof. Jan Nielubowicz (1915-2000) – wielki chirurg i pionier polskiej transplantologii, wybitny nauczyciel akademicki; twórca lub reformator wielu dziedzin chirurgii polskiej, doprowadził do pierwszego udanego zabiegu transplantacji w Polsce (przeszczep nerki, 1966); pełnił wiele funkcji zawodowych i społecznych.

W klinice chirurgicznej Szpitala Dzieciątka Jezus w Warszawie, prowadzonej przez profesora Tadeusza Butkiewicza, doktor Nielubowicz był opiekunem kółka



Jan Nielubowicz

chirurgicznego, do którego należeć mogli studenci po IV roku studiów medycznych. Jako studenci dr. Nielubowicza byliśmy pod wrażeniem Jego charyzmatycznych wykładów, erudycji oraz entuzjazmu, z jakim podchodził do swojej pracy. Podziwialiśmy też jego stosunek do pacjentów i personelu. Stał się dla nas mistrzem i wzorem lekarza do naśladowania. Gdy pod koniec roku akademickiego dr Nielubowicz zaproponował nam wyjazd na miesięczną praktykę do szpitala w Ciechanowie, przyjęliśmy to z wielkim entuzjazmem. Każdego sierpnia w latach 1948-1950 w szpitalu powiatowym w Ciechanowie dochodziło do rewolucji. Wszyscy lekarze, z dyrektorem szpitala na czele, jechali na urlopy.

Szpital, oprócz oddziału zakaźnego, obejmował we władanie dr Jan Nielubowicz wraz z grupą absolwentów i studentów po IV roku Akademii Medycznej. Tak powstała Akademia Ciechanowska – „zabawa” w prawdziwą klinikę. W pierwszym roku doktorowi towarzyszyli studenci: Janina Białkowska, Barbara Modrzejewska, Kazimierz Olszewski i absolwent Wojciech Dłouchy. W następnym – do tej grupy, poza Wojciechem Dłouchym, dołączyli studenci



Ulica im. prof. Jana Nielubowicza w Warszawie

Teresa Michałowska i Tadeusz Paliwoda. W kolejnym – studenci Danuta Strychniewicz, Zbigniew Jeżewski, Andrzej Ruszczyk i dwaj koledzy z Poznania, według rozdzielnika MZ. W szpitalu każdy z nas dostawał pod opiekę kilku chorych, na oddziałach: wewnętrznym, chirurgicznym i ginekologicznym. Do naszych obowiązków należało zbadanie i opisanie chorego według szkoły prof. Witolda Orłowskiego oraz prowadzenie go przez cały czas pobytu w szpitalu. Nasza praca rozpoczynała się poranną odprawą w gabinecie doktora, na której lekarz dyżurny sprawujący całonocny dyżur przedstawiał nowo przyjętych pacjentów i składał raport z przebiegu dyżuru. Nawet pomimo bardzo ciężkiego dyżuru nieogolony lekarz odsyłany był przez szefa do dopełnienia porannej toalety.

Potem był obchód, operacje i opatrunki. Wszystkie czynności wykonywaliśmy pod okiem doktora. Młodszy asystowali doktorowi przy operacjach, starsi absolwenci i lekarze niektóre zabiegi wykonywali z asystą pana doktora. Po południu zawsze jedna osoba asystowała doktorowi w ambulatorium. Zgłaszali się chorzy z przeróżnymi dolegliwościami, wierząc, że lekarze z Warszawy im pomogą. Czasami czekali cały rok na przyjazd dr. Nielubowicza. Doktorowi zawsze towarzyszyła jego „biblia”. Był to gruby kalendarz ze szczegółowymi opisami poszczególnych jednostek chorobowych i praktycznymi poradami przygotowanymi przez dr. Kazimierza Nielubowicza, urologa i chirurga, ojca naszego Mistrza, kiedy obejmował pierwszą samodzielną pracę na głuchej wsi wileńskiej, gdzie mógł liczyć tylko na siebie.



Cztery poniemieckie bloki przy ul. Sienkiewicza, w których w latach 1945-1985 mieścił się szpital powiatowy – Akademia Ciechanowska dr Nielubowicza

Wieczorami odbywały się w szpitalu posiedzenia naukowe, podczas których były dyskusje i referaty. Wszystko przebiegało w atmosferze koleżeństwa, zapału i humoru. Jeśli w czasie posiedzenia ktoś z nas powiedział coś ciekawego, to był nagradzany. Koleżanki dostawały słodycze, a koledzy dobre papierosy. Jakość nagród zależała od jakości wypowiedzi.

Pod koniec pobytu odbywał się zjazd naukowy. Zapraszani byli asystenci z kliniki prof. Butkiewicza oraz przyjaciele dr. Nielubowicza. W zjazdach uczestniczyli m.in.: dr Kistelska, dr Borkowska z mężem dr. Anusiakiem, dr Serini-Bulska z mężem, dr Marzinek, dr Szczśniak, dr Praszałowicz. Wszystko przebiegało z wielką pompą. Na dworcu w Ciechanowie witała gości delegacja kolegów

w białych rękawiczkach. Po powitaniu gości przewożono dorożkami do szpitala, tam czekał elegancki obiad przygotowany przez siostry zakonne, które prowadziły całą część gospodarczą szpitala. Po południu sesja naukowa, referaty i przygotowane przez nas demonstracje chorych. Szef wymagał, aby wszystko referowane było z pamięci. Jako jedna ze studentek do dzisiaj pamiętam: *Chory lat 49, przybył do szpitala z powodu silnego zażołcenia powłok ciała...* Był to przypadek raka głowy trzustki. Wieczorem wyprawiano bankiet, uświetniany występami gości. Dr Marzinek śpiewał cygańskie romanse, dr Szczśniak namiętne tango: *Jak pantera, co w złotej klatce łni*. Na pamiątkę każdy z uczestników dostawał kieliszek do wina z emblematem Akademii Ciechanowskiej.



Dawna Akademia Ciechanowska dr Nielubowicza

Miesiąc spędzony w szpitalu w Ciechanowie był okresem wytężonej pracy, ale atmosfera koleżeństwa, życzliwości i humoru nie pozwalała odczuwać zmęczenia. Przy posiłkach i w wolnych chwilach prowadziliśmy z Mistrzem niekończące się dyskusje na tematy medyczne, etyczne i życiowe. Nauczyliśmy się na całe życie szacunku, odpowiedzialności w stosunku do pacjentów i personelu medycznego oraz dobrze pojmowanego koleżeństwa i lojalności. Szef przestrzegał kolegów przed flirtami z pielęgniarkami na terenie miejsca pracy. Akademia Ciechanowska była najwspanialszą szkołą medycyny, życia i etyki lekarskiej. Powodem, dla którego dr Nielubowicz spędzał swoje urlopy w Ciechanowie, była możliwość zapoznania kształcącej się młodzieży

z praktyką lekarską. Praca w ciechanowskim szpitalu umożliwiała mu też zdobycie pieniędzy na zakupienie i utrzymanie zwierząt laboratoryjnych potrzebnych do jego pracy habilitacyjnej.

Efektom wieloletniej wytężonej pracy bez chwili urlopu była habilitacja. I choroba. Odwiedzaliśmy Profesora w sanatorium w Zakopanem. Nasz Mistrz pokonał chorobę i spełniło się Jego marzenie o wielkiej, prawdziwej klinice chirurgicznej o wielu profilach, między innymi pionierskiej transplantologii.

*Janina Białkowska
Teresa Michałowska-Majlert*

Przedruk za: Magazyn PULS, nr 2011/02-02

Zdjęcia – domena publiczna

ZAPOMNIANI...

JÓZEFAT GRZYBOWSKI

W historii samorządu ciechanowskiego było wiele ciekawych, dzisiaj prawie całkowicie zapomnianych postaci. Jedną z nich był Józefat Grzybowski. Ponad dwieście lat temu, w 1807 roku został wybrany na stanowisko burmistrza jako młody, zaledwie 24 letni obywatel urodzony w tym mieście. Ciechanów w tym czasie był małym, podrzędnym miasteczkiem w powiecie przasnyskim. Po wszystkich epidemiach, pożarach i wojnach (zwłaszcza kampania napoleońska w 1806 roku) liczył niespełna 1,5 tysiąca mieszkańców. W mieście było: 202 domy – w tym 2 murowane, dwa kościoły w których łącznie było dwóch księży, klasztor augustianów z trzema zakonnikami, synagoga i trzech rabinów, młyn wodny, dwa wiatraki, pięć garbarni i dwa mosty.

Poprzednikiem Grzybowskiego na stanowisku włodarza miasta był Andrzej Krajewski, po którym w kasie magistratu pozostały głównie znaczne niedobory finansowe. Józefat Grzybowski, syn Franciszka i Agnieszki z Wilamowskich, był rodowitym ciechanowianinem – jego rodzice pobraли się w tutejszej farze w 1784 roku, a on sam był posiadaczem domu w mieście. Młody, energiczny burmistrz miał duże ambicje. Chciał swoją funkcję sprawować dobrze, zapewnić właściwe dochody i finansowanie służb miejskich, poprawić warunki życia mieszkańców Ciechanowa. Stawiał na rozwój miasta, wymagał przestrzegania prawa i dobrych obyczajów, dążył do wysokiej ściąganości podatków. Podlegała

mu kamlaria (urząd municypalny, miejski zarządzający finansami) oraz policja municypalna. Już będąc burmistrzem, w 1808 roku Grzybowski ożenił się z Agnieszką Orłowską z Unierzyża.

W Ciechanowie, pomimo najlepszych chęci – operatywny burmistrz nie miał łatwo. Przemarsze wojsk, zniszczenia, choroby, kradzieże, donosy, konieczność wyżywienia żołnierzy, zapewnienia kwaterunku i podwoły zubożyły i w dużym stopniu zdemoralizowały mieszkańców. Starania Grzybowskiego, aby naprawić szkody i podnieść poziom życia mieszkańców, u części obywateli nie znalazły uznania. W 1809 roku grupa mieszczan złożyła na niego skargę do ministra spraw wewnętrznych Księstwa Warszawskiego o *różne uczynione im krzywdy i zdrożności*, zawyżone podatki, braki towarów w magazynach oraz o to, że Grzybowski *nieprzystojnych wyrazów używał do obywateli miejskich, nazywając ich buntownikami*. Skarżącymi byli obywatele: Jan Świerczewski (*ławnik konstytucyjny w magistracie*, syn Walentego prezydenta miasta Ciechanowa w latach 1793-1797), Andrzej Walisiewicz (cechmistrz cechu kupieckiego, *asesor magistratu*), Maciej Kozakiewicz (radny miejski, dzierżawca dochodów z podatków zwanych „brukowe” i „jarmarczne”, który później był szewcem), Jan Czarnecki (radny miejski, rolnik posiadający dom i grunta w Ciechanowie), Jan Bogusławski (rolnik posiadający dom i grunta w Ciechanowie), niejaki Tomasz



PREFEKT Departamentu Płockiego.

Uwadamam Publiczność, że JP. Jozefat Grzybowski, Burmistrz Miasta Ciechanowa, za liczne uchybienia, Dekretem Najias. Pana w dniu 12. z. m. zapadłym od Urzędu oddalonym, a w jego miejsce JP. Tomasz Śmietanka na takowy Urząd nominowanym został.

w Płocku, dnia 13. Pazd. 1810.

RembIELński.

Plichta, S. jen.

Dziennik Departamentowy Płocki, 1810

Dryaszewicz oraz starozakonni: Daniel Rabinowicz, Marcus Gall, Mozes Catkownik i Szmul Szylim.

Dla przeprowadzenia w tej sprawie dochodzenia skierowano z prefektury płockiej do Ciechanowa asesora Budziszewskiego, który w raporcie pisał: *Skarżący podali przeciwie oskarżonemu 26 kategorii. Skarżyli się m.in. że Grzybowski niesłusznie wsadzał do aresztu obywateli jako to Knorowskiego, Michała Cekalińskiego, Duńskiego. Przyznał się burmistrz, iż ich do aresztu wsadzał, ale za bunt przeciwko wydawanym zarządzeniom. Skarżyli się, że dbając o czystość, Grzybowski nie pozwalał dawać koniom obroku na bruku. Czyniący to musieli płacić kary, których jednak nie zużywał na własne potrzeby, lecz na utrzymanie miasta – na najęcie ludzi do chędożenia bruków, a tym samym na ulgę mieszkańcom miasta. Zarzucana korupcja i przekupstwo udowodnionymi nie zostały, jedynie co poniektóre uchybienia się potwierdziły lub Grzybowski sam się do nich przyznał, wyjaśniając jednocześnie motywy takiego działania. Jednym z zarzutów było zawyżanie podatku podymnego (liczonego od komina). Burmistrz udowodnił, że skarżący zataili fakt posiadania dwóch domów i podatek płacili tylko od jednego.*

Komentując poszczególne punkty oskarżenia, rewizor w sposób wyraźny zgadzał się, popierał i tłumaczył działania burmistrza. Zaznaczył też, iż *obywatele ciechanowscy rozdwojeni są w tym interesie. Jedni domagają się oddalenia burmistrza, inni dopraszają się by był do swego urzędowania zwrócony.* Asesor Budziszewski zauważył, że Grzybowskiemu od dawna niechętny był zwłaszcza jego zastępca, który miał chęć objęcia stanowiska po Józefacie. Urząd ten sprawował w tym czasie Walenty Wąsowski, który jednak nie uzyskał akceptacji władz i później został jedynie ławnikiem ciechanowskim. Tymczasem Rada Stanu, po zapoznaniu się z dokumentami uznała w lipcu 1810 roku, że: *nie znajduje uchybień rzeczzonego burmistrza {Grzybowskiego} tak wielkimi, iżby zasługiwały na oddanie go pod sąd; lecz mniejszą słuszną ażeby zapobiegając nadużyciom i szkodliwym skutkom jakie by z utrzymania go nadal przy tychże obowiązkach wyniknąć mogły, podanym był przez ministra spraw wewnętrznych do złożenia z urzędu.*

Nie poczuwający się do winy, odpowiedzialny Grzybowski zrezygnował z urzędu burmistrza Ciechanowa. W październiku 1810 na stanowisko burmistrza Ciechanowa został powołany Tomasz Śmietanka. Władze



Pieczęć Ciechanowa

administracyjne departamentu płockiego nie były przekonane o słuszności zarzutów w stosunku do Józefata Grzybowskiego. Ponieważ wysoko była oceniana jego sprawność oraz umiejętności, został mianowany burgrabią sądu pokoju powiatu przasnyskiego, (pomocniczy urzędnik sądowy). Stanowisko to było odpowiednikiem późniejszego komornika. Burgrabia sądowy pilnował wykonywania wyroków sądu, doręczał również pisma i wezwania, egzekwował należności. Urząd, zlikwidowany w 1811 roku, został zastąpiony dwoma niezależnymi stanowiskami – komornika i woźnego. Tymczasem konflikty byłego burmistrza Ciechanowa z oskarżającymi go mieszkańcami musiały zostać rozwiązane w sposób polubowny, bo w maju 1811 roku świadkami aktu narodzin syna Grzybowskiego byli wcześniejszy oskarżyciel, a jednocześnie sąsiad - radny Andrzej Walisiewicz i Kazimierz Osiatyński (były zastępca starosty, uczestnik słynnej czarnej procesji).

Po likwidacji urzędu burgrabiego Grzybowski opuścili Ciechanów. Początkowo rodzina przeniosła się do Unierzyża, do rodziców żony Józefata. Wkrótce Grzybowski zakupił niewielki majątek (dziedzic swej części) w Kuskowie Kmiecy i przez kilka lat usiłował gospodarzyć. Był jednak mieszczaninem z urodzenia, więc w pracy na roli nie odnosił sukcesów. Zgłosił władzom administracyjnym prefektury płockiej gotowość do podjęcia pracy i został mianowany nadsekwestratorem obwodu przasnyskiego. Zmiana pracy wiązała się z przeniesieniem całej rodziny do podprasnyskich Bartników.

Po śmierci żony Agnieszki w 1826 roku zrozpaczony Józefat Grzybowski wstąpił do seminarium, a po święceniach objął parafię w miasteczku Siennica pod Mińskiem. Jego syn Konstanty również zamieszkał w Siennicy – był najpierw nauczycielem w tamtejszej rządowej szkole elementarnej, a następnie protokolantem i kancelistą w sądzie w Mińsku. Proboszcz Józefat Grzybowski zmarł na swoim probostwie w Siennicy w 1843 roku, a świadkami aktu zgonu byli tamtejszy organista parafialny wraz z synem zmarłego, Konstantym.

Grażyna Czerwińska

Na podstawie:

Zaskarżenie Józefata Grzybowskiego, burmistrza miasta Ciechanowa [w sporze z obywatelami tegoż miasta], <https://www.szukajwarchiwach.gov.pl/de/jednostka/-/jednostka/17735236>

www.geneteka.pl

Pazyra S., *Dzieje Ciechanowa i ziemi ciechanowskiej*, Ciechanów 1976

ROMAN KUŚMIERSKI

„Szkoda Kuśmierz, że nie poszedł w nowoczesność...”, mówili. „A ja trzymałem się swojego akordeonu i tyle, co mi było potrzeba, to zagrałem. Akordeon wypełnił wszystko w moim życiu!”

(Roman Kuśmierski, 1948 – 2013)

Andrzej Kaluszkiewicz: *Twoja żona Basia powiedziała mi, że Twoje korzenie rodzinne są gdzieś na Kurpiach.*

Roman Kuśmierski: Ja tego nie wiem na pewno. Ojciec mi tak przekazywał, ale już mój pradziadek żył we wsi Łukowo. Mieszkamy tutaj od pokoleń. Pradziadek, dziadek, ojciec i ja jesteśmy z tej wsi, ale prawdopodobnie nasza rodzina przywędrowała z regionu ostrołęckiego. Ale nie wiem tego dokładnie. Ja bardzo lubię folklor kurpiowski. Może jakieś geny są we mnie. (śmiech)

A.K.: *Kurpie to przede wszystkim praca i zabawa. Głównie to kojarzy się z tym regionem.*

R.K.: Ja to wszystko lubiłem. Prowadziłem gospodarstwo i muzykowałem. Myślę, że robiłem to dobrze.

A.K.: *Akurat jak Ty się urodziłeś, to Łukowo traciło swoje znaczenie jako wieś.*

R.K.: Wtedy jeszcze nie. W latach 60. wciąż było prężną wsią. W 1964 roku skończyłem szkołę podstawową. Łukowo było dużą wsią. Była tam duża szkoła podstawowa, której obecnie już nie ma. Była poczta, zlewnia mleka,





Łukowo, 2013 r.

był sklep, prężna ochotnicza straż pożarna. Można powiedzieć, że Łukowo było „stolicą” tych wszystkich pobliskich zaścianków.

A.K.: *Niedaleko był Gołymin, który leży przy głównej drodze.*

R.K.: Oczywiście, ale Łukowo wcale nie było gorsze od gminnych wsi, takich jak Karniewo czy Gołymin, jeśli chodziło o sprawy wiejskie, organizacyjne.

A.K.: *Ba, kiedyś tu była cukrownia.*

R.K.: Była cukrownia. Tak jest. Moja babcia i dziadek pracowali w cukrowni.

A.K.: *To mamy coś wspólnego, jeśli chodzi o cukrownię. Twoją pasją jest muzyka, zgadza się? Jak to było na początku, jak w Twojej głowie zakwitła muzyka?*

R.K.: Już Ci mówię: od dziecka lubiłem muzykę. Nas – dzieci – wypędzano z zabaw w remizie, a ja chłonałem tę muzykę, chodziłem, słuchałem, jak muzykanci grali... Do dziś potrafię zagrać takie kawałki, których już nikt nie zagra! A ja je z dzieciństwa pamiętam...

A.K.: *Trzeba to nagrać w profesjonalnym studiu.*

R.K.: Tak, przydałoby się mieć pamiątkę. Ja te utwory znam i je gram. O, jeszcze jest pan Wysocki, trochę starszy. On pamięta muzykantów starszego pokolenia.

A.K.: *Opowiadałeś mi, że widziałeś jak muzykanci na scenie przy swoich krzesłach mają różne butelki z napojami. Grali utwory i jak robili przerwy, to popijali z tych flaszek. Ty im tego zazdrościłeś! Chciałeś tak samo wejść, usiąść na krześle, mieć tę oranżadę czy piwo z boku...*

R.K.: Podobało mi się, kiedyś to była elita! Wszyscy im zazdrościli. Występy na scenie... Wszyscy tańczyli, jak im zagrali!

A.K.: *To już taki nasz przywilej. Mamą przewagę nad odbiorcą naszej muzyki. On za to może to docenić lub nie. W Ciechanowie była szkoła muzyczna.*

R.K.: Moja mama dowiedziała się o tej szkole, bo miała kolegę, który mieszkał w Ciechanowie. Gdy skończyłem szkołę podstawową, rodzice jeszcze nie mieli pieniędzy na instrument. Dopiero po wakacjach, jak jesienią dostali pieniądze za buraki, kupili mi akordeon. A to był wydatek dość duży, bo pamiętasz doskonale, że akordeon „Weltmeister” kosztował 10600 zł, czyli tyle, ile kosztuje obecnie! Dwie dobre krowy (bo krowa kosztowała 5 tys. zł)!

A.K.: *Czyli cztery bardzo dobre pensje.*

R.K.: Jesienią rodzice kupili mi instrument i zacząłem chodzić prywatnie do pana dyrektora Kamińskiego. On mi powiedział: „Jak będziesz dobrze się uczył, to zdasz egzamin i pójdziesz do drugiej klasy”. Bo ja zacząłem później - jak miałem 14–15 lat. To był 1964 rok.

A.K.: *Byłeś już dużym chłopakiem, ale silnym, bo do akordeonu trzeba siły. Później Twoim nauczycielem został pan Bronisław Poznański.*

R.K.: Pan Kamiński przekazał mnie panu Poznańskiemu, tak zwanemu „Francuzowi”, który był w swoim czasie najlepszym akordeonistą

w Ciechanowie. Grał na akordeonie guzikowym.

A.K.: *Ale potrafił nauczyć i na klawiszowym.*

R.K.: Robił to bez problemu. Sam grał na akordeonie guzikowym, bo jego rodzice byli we Francji i on się tam nauczył grać.

A.K.: *Był we Francji w czasie wojny?*

R.K.: Nie. Rodzice wyjechali tam pracować, jako emigranci. Był zdolny, więc rodzice wysłali go do prywatnej szkoły muzycznej. To był najlepszy muzykant Ciechanowa, wiesz doskonale o tym, bo wtedy...

A.K.: *Muzyk. Czytał nuty, pisał nuty. Pamiętam, napisał mi taki przebój „Jawa” – kiedy miałem 12 lat. Mój ojciec go poprosił. Ja te nuty mam do dziś.*

R.K.: Ja też mam taką pamiątkę; pięknie pisał nuty.

A.K.: *Tak, ze wszystkimi ozdobnikami. On wychował kilku akordeonistów, którzy później zostali muzykami. Jaka jest różnica między muzykiem a muzykantem? To kiedyś pan Kamiński powiedział: „Jak między ministrem a ministrantem!”.*

R.K.: Sam doskonale wiesz, że po ognisku muzycznym nieraz świadectwo ukończenia zostawało jako pamiątka. Kto kochał i pielęgnował to, czego się nauczył, to egzystował jakoś w branży. Było trochę za mało podstaw do uprawiania większej sztuki.

A.K.: *Ktoś, komu nauka przychodziła z trudnością i kto się męczył nad utworem, jak musiał o piętnastej usiąść z akordeonem, to dostawał skrętu kiszek z bólu i ze złości. Potem grał dyplom i ten akordeon szedł w niepamięć. Po roku dopiero ktoś zauważył: „A, akordeon stoi!”.*

R.K.: Oprócz mnie chodził do pana Kamińskiego chłopak, który uczył się dłużej ode mnie. Zaczął grać walca „Fale Dunaju”. Ja już trochę znałem nuty i Kamiński mówi: „Zagraj ty!” i wskazuje na mnie. I ja zacząłem grać tego walca, a Kamiński się zaczął śmiać.

A.K.: *Zadowolenie nauczyciela płynęło z serca.*

R.K.: Z serca, ja nic nie umiałem jeszcze, mało umiałem!

A.K.: *Wypływa z serca. Jak nawet ktoś kiepsko zagra, to nauczyciel czuje, że coś z tego będzie, że to jest materiał, nad którym warto popracować.*

R.K.: W ognisku muzycznym była fajna atmosfera.

A.K.: *O, srogo było!*

R.K.: Srogo było, zgadza się! Wszyscy się bali. Trzeba było ćwiczyć i trzeba było coś umieć, trzeba było przychodzić przygotowanym na lekcje!

A.K.: *Tak. Lekcja była co trzy dni. Było trochę teorii, ale był zespół, który zawsze miło wspominaliśmy, bo w tym zespole się grało już w grupie. Kilku akordeonistów, którzy współpracowali ze sobą.*

R.K.: To było rzemiosło grania w zespole. Jeden słuchał drugiego, starał się grać równo i czysto, bo kapelmistrz był cholerykiem i czasem potrafił batutą rzucić. Niektóre jednostki były bardzo odporne na uwagi nauczyciela.

A.K.: *Moda na akordeon była zawsze. Raz mniejsza, raz większa. Akordeon jest instrumentem łatwym w transporcie i łatwym w obsłudze. I jest w tej muzyce akordeonowej prawie wszystko. Jest harmonia, jest melodia. Akordeonista potrafi sam zabawić publiczność.*

R.K.: Jest w akordeonie jakaś siła, jakiś urok. To nie jest jeden dźwięk.

A.K.: *W akordeonie można przynajmniej wziąć pięć dźwięków prawą ręką, a basy to wiadomo, są jakie są.*

R.K.: Zależy, jaki utwór się wykonuje, ale czasem można z akordeonu wyzwolić potęgę muzyki.

A.K.: *Poza tym każdy Polak, co by nie mówił, lubi muzykę akordeonową.*

R.K.: Wiesz Andrzej, kiedyś nasz nieżyjący kolega, przyjaciel, Andrzej Radź powiedział tak: „Szkoda Kuśmierz, że nie poszedł w nowoczesność”. Wtedy właśnie wkroczyły na nasze sceny instrumenty elektroniczne.



Wydawało się, że ludzie, zwłaszcza młodzi, zapomną o akordeonie. A ja nie, ja trzymałem się swojego akordeonu i tyle co mi było potrzeba, to zagrałem. Grałem 15 lat w Domu Polonii w Pułtusk.

A.K.: Jest taka prawda, że instrument klasyczny, jaki on by nie był, czy to klarnet czy flet, czy skrzypce przetrwają. Weźmy orkiestrę symfoniczną: to są instrumenty klasyczne, tam nie ma żadnych elektronicznych saksofonów czy klawiszy, ale te instrumenty zawsze przetrwają. A instrumenty elektroniczne cały czas są w rozwoju. Jeszcze się nie zatrzymały w swym rozwoju i nie zatrzymają, a dokąd droga prowadzi...? Niektóre same już grają!

R.K.: Ależ oczywiście. Możesz sobie iść na kolację, a i tak będzie grała muzyka w twoim instrumencie.

A.K.: Instrument plus człowiek równa się muzyka.

R.K.: Pamiętasz naszą młodość? Pamiętasz muzykantów z tamtych lat? Myśmy mieli po 20 lat, a muzykanci niektórzy po 50. Byli jeszcze młodzi. Byli aktywni. Jakie orkiestry były! „Gra orkiestra doborowa” – taki był slogan na plakacie. Rywalizacja była. Ten zagrał polkę, tamten wykonał jeszcze lepszą i musiał się z głowy nauczyć. Tak. Taka była zdrowa rywalizacja. Jak ktoś nie wypracował, to nie umiał!

A.K.: Zawsze była tradycja, żeby wypić flaszkę przy dobrej zakąsce w niedzielę w „Polonii”, przy ul. Warszawskiej w Ciechanowie. Spotykali się ci, co grali w sobotę. Omawiano wesela, zabawy, organizację. Kto, kogo i za co... Teraz tego nie ma, teraz każdy bierze kasę, ucieka do domu, do rodziny.

R.K.: Teraz tego nie ma. Tradycja upada, a tradycja to rzecz święta. Bez tradycji nie ma rozwoju. Jest tylko marazm i ten marazm można zaobserwować w dzisiejszej muzyce wykonywanej na weselach i zabawach.

A.K.: Co by nie mówić, nasze czasy były czasami

rozwoju muzyki rozrywkowej, może największego w historii. Graliśmy w najlepszym okresie. Lata 60. i 70. dały muzyce wiele pięknych piosenek, których nawet dzisiejsza młodzież słucha z przyjemnością. Nie były to przypadkowe kompozycje; tworzyli je artyści dużego formatu.

R.K.: Skład naszego zespołu był nietypowy. To była nowość. Grałeś na nowoczesnym instrumencie – organy, to było coś. Tak jak ty grałeś, rzadko kto potrafił. Kiedyś, pamiętam w Tłuszczu mówi facet: „Jeszcze nie widziałem, żeby organy z akordeonem grały”. Pamiętam te słowa.

A.K.: Myśmy zrobili coś innego niż wszyscy. Myśmy nie grali na organach jak na akordeonie. Ty miałeś swoją rolę w zespole, a ja miałem swoją. Ja grałem bas, bo na całe szczęście moje organy były dzielone. Czyli po lewej stronie miałem dwie oktawy basowe, a po prawej miałem trzy oktawy melodyczne, których używałem do funkcji. Ja grałem bas i akordy.

R.K.: Grałeś mało melodii, chyba że był to typowy utwór na organy. Wtedy my się usuwaliśmy w cień, a ty byłeś solistą.

A.K.: Inne zespoły przeważnie grały jednakowo. Stało ich czterech i grali jednakową melodię, ewentualnie na dwa głosy. Myśmy wprowadzili bas i akordy, który były słyszane tylko w radiu lub na płytach. Bardzo dobrze to brzmiało i uważano nas za wielkich muzyków.

R.K.: Jest takie powiedzenie: „Mamo!”, „Co?”. „Chwała nas”. „My ciebie, a ty nas”, prawda? Tak my rozmawiamy ze sobą. Ale żyją ludzie, którzy pamiętają, jak myśmy grali, jakie było show! Ile młodzieży przychodziło!

A.K.: To był jeden z nielicznych zespołów od Warszawy po Olsztyn, który brzmiał nowocześnie.

R.K.: Była to klasyka połączona z nowoczesnością.

A.K.: Graliśmy utwory, które były popularne na zabawach, proste tanga, proste utwory z radia, ale to brzmiało profesjonalnie.





Łukowo, 2013 r.

R.K.: Oczywiście, przecież przychodzili różni ludzie. Myśmy mieli lat 20, ale nasi słuchacze mieli lat 40–45. Jak mieli życzenie, trzeba było zagrać oberka, polkę i nieśmiertelne „Fale Dunaju”. To była klasyka, to trzeba było umieć grać! A dla młodzieży graliśmy przeboje. „Nauczycielka tańca”, „Do zakochania jeden krok”, standardy amerykańskie, przeboje angielskich zespołów, włoskich. Trzeba było być przygotowanym na wszystko.

A.K.: Pamiętam słynną zabawę w Karniewie, jak śpiewała z nami dziewczyna, która знаła jeden utwór.

R.K.: To było w Tłucznicach. Piotrek ją odkrył. Śpiewała „Poszukaj muszli na brzegu morza”.

A.K.: Zaśpiewała, zagraliśmy dwa utwory, ale publiczność się domaga solistki. Mówię, że ona tylko jeden utwór zna. Ludzie: „To nic. Niech śpiewa”.

R.K.: Tak, to fajne czasy. Ludzie lubili i umieli się bawić.

A.K.: Do końca lat 70. grałeś przeważnie z zespołami.

R.K.: Tak. To był złoty okres muzykowania na weselach i zabawach. Ludzie chcieli przytłumić zabawą tę socjalistyczną szarość dnia powszedniego.

A.K.: Później podjąłeś się samodzielnych występów, grałeś w Domu Polonii, na różnych przyjęciach, na piknikach. Wyciągnęła Cię kariera solistyczna. Nawet stałeś się słynniejszy dzięki temu, bo akordeon wtedy umarł.

R.K.: Tak, wtedy tak. Nagle zabrakło akordeonistów potrafiących zabawić ludzi. Muzykanci preferowali instrumenty elektroniczne. Stało się modne hasło: „Gramy głośno i daleko!!!”. Nikt się nie pytał: jak?

A.K.: Ludzie, którzy byli od nas trochę starsi,

pamiętali jednak o Tobie. Dyrektor Rusak zaangażował Cię do Domu Polonii w Pultusku, opowiedz coś o tym.

R.K.: Dyrektor Rusak przyjechał do mnie do domu razem z Tadeuszem Karpiszem i panią Bregusową z działu programowego. Dyrektor poprosił, żebym zagrał. Zagrałem. Dyrektor Rusak powiedział: „Panie Romanie, ma pan u mnie pracę!”. W Domu Polonii grałem prawie 15 lat. I jeszcze dziś mam kontakt. Jeszcze mnie zapraszają. Grałem na gondolach, na ogniskach, grałem na bankietach – oczywiście nie sam, bo grała orkiestra, ale tam się bale odbywały w ten sposób: grała orkiestra na parkiecie, grał zespół gitarowy, kameralny. Bale w Domu Polonii były na ponad 400 osób! Ja byłem samodzielny, chodziłem z akordeonem po salach i jak ktoś miał życzenie (goście siedzieli przy stolikach) to mu zagrałem to, co chciał.

A.K.: Wtedy byłeś już solistą. Chociaż wcześniej również Cię podziwiano i wyróżniano z zespołu. Byłeś już rozpoznawalny, prawie wszędzie Cię znali – tutaj, w okolicach. I to blisko Cię znali, bo wiem doskonale, że przy stole biesiadnym ta znajomość się szybko utrwała.

R.K.: Umacnia się i trwa.



Łukowo, 2013 r.

A.K.: Tak. To nie jest znajomość przelotna z przystanku autobusowego.

R.K.: Wyobraź sobie Andrzej, że ja, chłopak ze wsi, grałem nawet w hotelu „Marriott”, grałem w „Sobieskim”, w tak elitarnych miejscach, że nawet mi się nie śniło, że kiedyś zagram na takich bankietach!

A.K.: Byłeś akordeonistą, który kultywował przez całe życie właściwie ten styl biesiad z lat powojennych. Lubieś to. Człowiek powinien robić to, w czym się czuje najlepiej.

R.K.: Lubiełem śpiewać i akompaniować sobie na akordeonie. Akordeon wypełnił wszystko w moim życiu. Zaśpiewałem, zaakompaniowałem, byłem solistą i akompaniatorem.

A.K.: Kultywowałeś muzykę akordeonową, ale interesowałeś się również muzyką ludową.

R.K.: Oczywiście, do dziś się tym interesuję.

A.K.: Zacząłeś współpracować z zespołami ludowymi. Pierwszym byli „Karniewiaczy”?

R.K.: Tak. W Karniewie grałem 6 lat.

A.K.: Później był Gołymin?

R.K.: Zgadza się. Była mała przerwa. Do Karniewa poszedł ktoś inny. A ja zacząłem w Gołyminie. Do dzisiaj prowadzę z powodzeniem zespół w Klubie Seniora. Jeśli chodzi o Gołymin, mam bardzo dobrych ludzi, ale za małe jest zamiłowanie do tradycji. Ludzie nie lgną do muzyki ludowej w naszym rejonie.

A.K.: Nie ma nowych wykonawców, czy publiczności?

R.K.: Nie ma ludzi, nie ma zainteresowania. Są ci sami, którzy przyszli na początku. Nikt nie przybył nowy, nawet z tego starszego pokolenia. Nie ma tradycji ludowych, żeby ludzie lgnęli do tego. Kurpiowszczyzna jest najsilniejsza w naszym rejonie. Górale, rzeszowskie, krakowskie to są silne regiony. U nas jest bardzo trudno o takie przywiązanie do tradycji. Kiedyś przyjechał do mnie chłopak, żebym mu poprawił akordeon. Grał na weselach w takim nowoczesnym zespole na Kurpiach,

w Myszyńcu. Nadszedł moment oczeplin i każą im grać oczepliny, a oni zielonego pojęcia nie mają, co tutaj robić! Wszystko jest wciąż żywe! Sprowadzili swojego muzykanta z harmonią pedałową i musiało się wszystko odbyć według tradycji! Zespół, który grał na weselu, czekał, a muzyka na oczeplinach musiała być oryginalna – kurpiowska. Jeżdżę na „Kurpiowskie Granie” do Lelisa. To odbywa się w pierwszą niedzielę października. Cały dom kultury zastawiony harmoniami pedałowymi. Mówi się pedały, a to są miechy do harmonii pedałowej. Grają chłopcy, którzy mają 10 lat, 12. Próbuja. Właśnie tam tradycja jest żywa.

A.K.: *Czy ludzie nie wiedzą o tym, że wszystko, co Chopin napisał, to wyszło stąd? Jego muzyka prześlągnięta jest naszą muzyką ludową. Te wszystkie melodie są nasze! Najbardziej swoją tradycję muzyczną pielęgnują Żydzi. Oni swoją muzykę wykonują znakomicie. Wyśmienici instrumentalści.*

R.K.: Oni są cierpliwi. Do muzyki trzeba człowieka cierpliwego. Oni uczyli się muzyki od lepszych. Opowiadał mi pan Oględzki, który naprawiał mi harmonię w Płońsku. Miał 95 lat, jego ojciec był organmistrzem, a on całe życie w Rynku prowadził zakład naprawy harmonii. Dzwonił do mnie, zaprzyjaźniliśmy się. Zginął w wypadku, potracił go samochód. Miał 95 lat. Prowadził zakład do końca. Był zżyty z tym miejscem i z harmoniami. Lubiliśmy się bardzo i wiele rozmawialiśmy. Zadałem mu pytanie: „Panie Oględzki (bo widziałem, że gra dobrze, gra prawidłowo), kto pana nauczył w tamtym czasie grać?”. A on mi odpowiedział: „Żydzi; ojciec płacił Żydom i Żyd mnie uczył tu w Płońsku”. Tak jak powiedziałeś, Żydzi mieli muzykę we krwi, prawidłową muzykę. Gdzieś na wsi ktoś nauczył się na swój sposób. Granice jego muzykowania wytyczały indywidualne zdolności. Nie znał podstaw muzyki. A Żydzi się uczyli muzyki prawidłowo, grali lepiej.



Koncert w Warszawie

A.K.: *Porozmawiajmy teraz o „Majowym Muzykowaniu”. Ta piękna impreza będzie obchodzić 10-lecie. Kultywowana przez nasze Muzeum Szlachty Mazowieckiej w Ciechanowie. W zasadzie to ono jest organizatorem i Gmina Gołymin – Ośrodek.*

R.K.: Pamiętam, jak się ten pomysł zrodził. Był wójt, pan Krzysztof Kowalski był na imprezie przebierańców „Zapusty 2004” w Zielonej i była tam pani Irena Borowy z Muzeum. Właśnie wtedy ten pomysł się zrodził. Impreza „Majowe Muzykowanie” odbyła się w ostatnią niedzielę maja 2004 roku. Ty już znasz dalszy ciąg, bo zasiadasz od II edycji Muzykowania w jury. Właśnie ma się odbyć X spotkanie jubileuszowe. Zainteresowanie wzrasta. Sala pełna ludzi, cała łąka zastawiona samochodami. Jest w społeczeństwie potrzeba takiej muzyki.

A.K.: *Jest potrzeba w ogóle takich cyklicznych imprez. A ta impreza... dlaczego tu ludzie przyjeżdżają z Ciechanowa, z Pułtuską? Bo tego w okolicy*



W Watkowie, Mazowieckie Majowe Muzykowanie

nie ma. Nie ma tego na co dzień. W telewizji nie zobaczysz, w radiu nie usłyszysz. Kiedyś grał w radiu zespół akordeonistów Tadeusza Wesołowskiego, kapela Feliksa Dzierżanowskiego, grali również samoucy, nagrywani gdzieś na wsi. Kiedyś to pielęgnowano, teraz nie!

R.K.: Z Radia Dla Ciebie przyjeżdżał do mnie redaktor Józef Sobiecki. Pan Józef był starszy jeszcze ode mnie. On prowadził taką audycję, właśnie grali tam tacy amatorzy, wiesz, smakosze muzyki, często na Kurpiowszczyznę jeździł. Ale i z naszego Mazowsza. Akordeoniści, śpiewacy. I kiedyś tak do mnie mówił: „Słuchaj, Roman, o ile jeszcze są starzy redaktorzy, to jeszcze to idzie. Jak nas zabraknie, zobaczysz, że w radiu nie będzie nic”. I sprawdziły się jego słowa.

A.K.: Ten przegląd się rozwija, przyjeżdżają coraz nowi ludzie. Jestem trochę zaniepokojony tym, że odchodzą starsi muzykanci.

R.K.: Odchodzą. Pamiętasz przecież pana Henryka Szustowskiego. Ta harmonia tutaj należała właśnie do niego. Jego córka Hania sprzedała mi ten instrument i płakała, jak go przekazywała. Powiedziała, że ojciec jej się przyśnił (który bardzo mnie lubił i chyba wiedział, że ten instrument trafi w dobre ręce i jeszcze długie lata będzie grał) i powiedział: „Sprzedaj tę harmonię Romanowi”. Myślałem, że ona jest sprzedana do muzeum, bo to wiesz, jest zabytek. Ona do mnie zadzwoniła dwa lata po jego śmierci i mi go sprzedała. Ja zbieram te stare instrumenty. Po prostu czuję się w obowiązku ratować je, bo to jest historia. Jako młody chłopak podziwiałem tych muzykantów, zresztą ty miałeś jeszcze okazję podziwiać, jak grał człowiek na tym instrumencie, prawda? Muzykant, który miał ponad 80 lat, jak wykonał marsz „Dwaj przyjaciele”, to ciarki przechodziły.

A.K.: Mnie to zdziwiło jako muzyka, że człowiek, który ma lat 80 i którego nie podejrzewałem o wielkie możliwości, tak wspaniale gra.

R.K.: To nie był samouk. Był dobrze wyszkolony. To wspaniała historia. Ja lubię historię w ogóle. I może wiem wiele rzeczy, których może nie wiesz (śmiech), a ja wiem. Wyobraź sobie, mam książkę *Jedenasty pułk ułanów legionowych*. Tam jest skład orkiestry. To się wszystko ze sobą wiąże. Jest skład orkiestry pułkowej i tam jest wymienione nazwisko Jan Kubaczyk. A Jan Kubaczyk był bardzo dobrym muzykaniem i był wujkiem Henryka Szustowskiego! On go nauczył nut! Ojciec Szustowskiego grał ze słuchu, a wuj nauczył go nut i to się odbiło bardzo pozytywnie! Słyszaleś, jak on gra!

A.K.: W orkiestrze pułkowej grał Stanisław Klepański, znany ciechanowski muzyk.

R.K.: Grał Klepański, Stanisław Szpojankowski.

A.K.: Stanisław Szpojankowski to był kumpel

mojego ojca. Mieszkał na Osadzie, pracował w cukierni i grał na pużonie. Na barytonie również grał. Przepięknie wykonywał utwór Wertyńskiego „List”. Kiedyś na przeglądzie orkiestr dętych zdobył pierwszą nagrodę za wykonanie tego utworu. Pamiętam, jak odszedł, dosyć młodo. Miał może pięćdziesiąt kilka lat.

R.K.: To był jeszcze młody chłop.

A.K.: Młody. Bardzo się wzruszał, gdy słyszał muzykę. Pamiętam, jak grałem dla niego poloneza „Pożegnanie ojczyzny” Ogińskiego. Plakał ze wzruszenia. Nie wiedziałem, że on grał w orkiestrze 11. Pułku Ułanów Legionowych.

R.K.: Tam grali dobrzy muzycy, Między innymi Jan Kubaczyk. Został ranny na wojnie, przeżył niewolę. Ledwo uratowano mu lewą rękę. Grał później na pedałowej harmonii. Był bardzo dobrym muzykiem. I widzisz, jak to się wszystko wiąże. Nazwiska z ciechanowskiej orkiestry z Przasnyszem związane: Waśniewscy, Gelzakowscy, to byli muzycy. Czynni grajkowie. Ich synowie też grali. To wszystko ma swoje odległe korzenie.

A.K.: Utalentowani ludzie.

R.K.: To ma się w genach.

A.K.: Teraz muzyka jest na tym etapie, że bez swojego mistrza, który ci pokaże, co i jak, ciężko jest się czegoś dobrze nauczyć. Jak zobaczysz, że jesteś najlepszy w zespole, to uciekaj do innych, lepszych, bo muzyki trzeba się uczyć całe życie.

R.K.: Oczywiście. W naszym zespole tak było. Ja się od ciebie dużo nauczyłem - słyszeć harmonię, stosować odpowiednie akordy. W Ognisku uczyli podstaw. Grało się etiudy, sonatiny, grało się polifoniczne rzeczy, ale później muzyka zaczęła wymagać czegoś innego.

A.K.: Harmonia, ta funkcyjna jest ważna na takich imprezach, na jakich my graliśmy.

R.K.: Trzeba było umieć słyszeć.

A.K.: Graliśmy dla ludzi, graliśmy za pieniądze. Tak musieliśmy grać, żeby się podobało, ale na jakimś znośnym poziomie.

R.K.: Zawsze miałem marzenie, żeby nauczyć się grać na harmonii pedałowej, ale nie miałem możliwości. Harmonia pedałowa była elitarną sprawą! Akordeon trudno było zdobyć! Ale o takim instrumencie jak harmonia pedałowa można było sobie tylko pomarzyć, bo to było nieosiągalne. Produkowały je tylko warszawskie zakłady rzemieślnicze. Ale ja w wieku czterdziestu paru lat zacząłem się uczyć grać na harmonii pedałowej. Coś mnie do tego ciągnęło. Może mniej sprawnie gram na harmonii jak na akordeonie, ale jestem spełniony i zadowolony z siebie. Siedzę i gram na harmonii trzyczęściowej, pedałowej i mam satysfakcję.

A.K.: Dla mnie to jest czarna magia. Podobno jest łatwo się nauczyć i grać, ale ja nie potrafię. Ty jesteś fanem harmonii, kolekcjonerem i znasz historię wielu tych instrumentów.

R.K.: Kocham te instrumenty. Ta harmonia, którą tutaj widzisz, jest po panu Szustowskim, ale nie należała do pana Szustowskiego od początku. Pierwszym jej właścicielem był pan Kazimierz Kruczyński, który pochodził z Wólki Łukowskiej. Ona wróciła tu w te tereny. Kruczyński ożenił się w Baczach koło Opinogóry z panią Smolińską, której brat – Józef Smoliński, grał na skrzypcach. Ta harmonia grała w gminie Opinogóra. Później dopiero zaczął grać na niej pan Szustowski. A teraz wróciła do gminy Karniewo. Taki wielki powrót po latach. Wyprodukowano ją w 1938 roku w Radzyminie, w zakładzie Andrzejaka. On miał pierwszy zakład w Ciechanowie. Robił harmonie. Później przeprowadził się do Radzymina, a później do Warszawy. Harmonię, którą trzymałeś w rękę, zrobił Andrzejak już w Warszawie na Targówku. Pieczętka jest.

A.K.: Zaskakujesz mnie. W Warszawie Andrzejak miał duże możliwości, więcej mógł produkować, dużo zarabiać.

R.K.: W Warszawie zarobki muzyków były

znacznie większe niż na prowincji. W zależności od tego, jak grałeś. Byłeś dobrym muzykiem – dobrze płacili.

A.K.: *Jak myślisz, co dalej będziesz robił? Czy już wystarczy Ci klub seniorów? W pełni się realizujesz?*

R.K.: Oczywiście, że w pełni się realizuję. Będę grał, dopóki będę miał siłę. Kto się urodził z tym, pokochał muzykę, z tym umrze. Takie jest życie.

A.K.: *Tę rozmowę trzeba optymistycznie zakończyć. Ciało umrze, ale po człowieku zostanie jego twórcza praca, zostaną dzieci, wnukowie, którzy pielęgnują dziadka pasję.*

R.K.: Mam wielką satysfakcję, bo jak sam wiesz, niewielu ludziom się tak zdarza, żeby byli spełnieni jak ja. Ty grasz, ale drugie pokolenie nie będzie tego chciało.

A.K.: *Albo pójdzie w innym kierunku...*

R.K.: Każdy ma prawo wyboru. Dorasta i kształtuje się, jak chce, wybiera zawód. Mam syna, Roberta, który skończył Akademię, jest zawodowym muzykiem.

A.K.: *Jest artystą.*

R.K.: Tak, wirtuozem akordeonu. A córkę uczyłeś na pianinie, ale nie miała takiego zacięcia. Obecnie jest nauczycielką języka niemieckiego. Wiesz, dwoje ludzi było w domu, a on miał zacięcie. Teraz serce mi się raduje.

A.K.: *Powiem Ci, że do nauki języka też trzeba mieć ucho muzyczne.*

R.K.: Tak. Trzeba dobrze słyszeć. Ona kocha język niemiecki. Poszła w ślady mojego ojca, bo on bardzo pięknie pisał po niemiecku i bardzo lubił ten język.

A.K.: *Wróćmy na chwilę do Twojego ojca. Ja go znałem. To było bardzo dawno temu. Ojciec twój miał charyzmę i jednocześnie był człowiekiem spokojnym, dobrym. Każdy go szanował.*

R.K.: Ojciec rozumiał muzykę, bo jako młody chłopak grał w orkiestrze. W Łukowie była dęta orkiestra w straży. Jedna z lepszych strażackich

orkiestr. Prowadził ją bardzo dobry muzyk... Wrócił chłopak z wojska, znał muzykę, bo grał w wojskowej orkiestrze. Nauczył ojca rozumieć muzykę. Ojciec zaczął grać w wieku 16 lat. Skończył, gdy miał 21 lat. W tamtych czasach to dość długo. Później poszedł do wojska. W wojsku już nie grał w orkiestrze, ale rozumiał muzykę do tego stopnia, że zwracał mi uwagę. Każdemu młodemu chłopakowi się nudzi i w pewnym momencie mówię: „Ja już umiem, co mi tam!”. Przestałem ćwiczyć, a ojciec mówi: „Ucz się, ucz”. Mam kolegę w klubie seniora. Opowiadał mi, że jego ojciec mu przeszkadzał! On sam poszedł do orkiestry, on sobie nauczyciela załatwił, bo kochał muzykę. A ojciec zniszczył mu nuty. Byli ludzie, którzy grali w orkiestrach wojskowych. Mieli szczęście. Ja też byłem dzieckiem szczęścia. Skończyłem Ognisko Muzyczne w Ciechanowie, to tak, jakbym akademię skończył! Doskonale wiesz, jaki był poziom, co było z muzyką! W Ciechanowie, a u nas na wsi w Łukowie...

A.K.: *Oczywiście. Niektórzy nie mają pojęcia, jaką potęgą muzyczną w skali mini regionu był wówczas Ciechanów.*

R.K.: Może Pan Bóg czuwał, że do takich nauczycieli trafiłem? Do pana Józefa Kamińskiego, do pana Bronisława Poznańskiego. Przecież to była ówczesna elita muzyków. Nie wszystkie miasta mogły się poszczycić takim zapleczem pedagogicznym, jakie miał Ciechanów. Żadne okoliczne miasto nie miało takich pedagogów.

A.K.: *I wiadomo, jak się skończyło. Nagle Mława zrobiła się wielką potęgą, bo pojawił się człowiek, który trochę na akordeonie umiał uczyć. Otworzyli szkołę muzyczną drugiego stopnia, a Ciechanów był miastem wojewódzkim, stracił szansę. Przecież gdyby przyszli tutaj ludzie z Warszawy...*

R.K.: Oczywiście, bo tu było blisko! Wtedy człowiek po Ognisku Muzycznym z każdym się dogadał. Grałem z dobrymi muzykami,



W Wątkowie, Mazowieckie Majowe Muzykowanie

z orkiestrantami. Z każdym się dogadałem, bo wiedziałem, co to jest C-dur, co to jest c-moll, co to jest A-dur, co to jest fis-moll. Wiedziałem, bo to było na zajęciach.

A.K.: *Ale cała chałtura, jak myśmy to nazywali, była znakomitą szkołą, ponieważ wymagała od nas czujności, muzykalności i podolaniu trudnościom w każdych warunkach. Ile było niespodzianek. Potrafiliśmy im sprostać. Nie wiadomo było, co będzie za chwilę!*

R.K.: Była taka słynna kawiarnia w Ciechanowie...

A.K.: „Jagienka”?

R.K.: Nie, nie, nie. Kawiarnia na Blokach.

A.K.: „Danuśka”!

R.K.: „Danuśka” – taka mała! Pamiętasz, jak usłyszałeś tam utwór „Do zakochania jeden krok”? Śpiewał Andrzej Dąbrowski.

Momentalnie go opracowałeś i to był mój popisowy numer. Ja śpiewałem to na chałturach, był to hit na zabawach! Ale musiałeś go opracować i był w tonacji a-moll, pierwsze akordy... Nauczyliśmy się go i graliśmy na zabawach. Graliśmy poprawnie.

A.K.: *Bardzo poprawnie jak na owe czasy. Takich przypadków było więcej.*

R.K.: Szliśmy kiedyś obok „Nowej” w Rynku. Grali „Nauczycielkę tańca”. Pamiętam, szliśmy, to było w nocy. Stanałeś, posłuchałeś i na drugi dzień już graliśmy to na zabawie.

A.K.: *Roman, to były utwory bardzo proste, ale było fajnie, że wczoraj była premiera w telewizji, a dziś już my gramy.*

R.K.: Szybko się uczyliśmy. Graliśmy takie rzeczy bez problemów.

A.K.: *A kto i jak podtrzymuje rodzinne tradycje*

muzyczne?

R.K.: Ja się teraz cieszę, bo wnuczka w tym roku zdaje maturę. Zdała już egzamin końcowy w średniej szkole muzycznej. Program widział, bo pokazała ci Basia. Gra na skrzypcach. To piękny instrument dla kobiety. A i wnuczek, Maciek, gra. Przez telefon grali mi z ojcem koncert. Mały Maciek chodzi do trzeciej klasy szkoły podstawowej i równocześnie do trzeciej muzycznej szkoły podstawowej! Na akordeon! Nieraz się buntuje, ale już gra.

A.K.: *To jest głęboko zakodowane u Was, że dzieciaki, wnuczki kształcą się muzycznie.*

R.K.: U nas nie było muzykantów. Ja jestem pierwszy.

A.K.: *Ale to gdzieś siedziało...*

R.K.: Gdzieś siedziało... może w genach to mamy.

A.K.: *Proponuję zakończyć tę rozmowę zdaniem,*

że muzyka u Kuśmierskich jest wieczna.

R.K.: Już ja mogę śmiało odejść na tamtą stronę, bo jestem zabezpieczony!

A.K.: *Nie, o tym to nie ma co mówić, przyjdzie czas, to damy nura! Ale u Was to już trzecie pokolenie i poziom coraz wyższy.*

R.K.: Coraz wyższy. Mam wielką satysfakcję. Czego mnie się nie udało osiągnąć, to osiągają oni. I na tym sztuka polega!

A.K.: *Syn osiągnął statut muzyka artysty. Musiał pracować przez młode lata.*

R.K.: Czego mnie się nie udało osiągnąć, zdobył syn. Może by się udało, gdyby były inne warunki, gdyby był inny świat, no wiesz, ja się cieszę z tego, co osiągnąłem.

A.K.: *Ale jak Robert zaczynał, to wcale inaczej jeszcze nie było! Robert miał szczęście, że trafił na dobrego nauczyciela.*

R.K.: Oczywiście.



W Watkowie, Mazowieckie Majowe Muzykowanie

A.K.: *To zależy dużo od szczęścia, a nawet przypadku. Miał szczęście, że pojechał do Warszawy.*

R.K.: Robert skończył podstawową szkołę muzyczną na akordeonie. Na egzaminie zagrał „Lot trzmiela” Rimskiego – Korsakowa. Grał na akordeonie klawiszowym.

A.K.: *To jest bardzo trudne.*

R.K.: Stał przed wielkim wyzwaniem – przetrzymać się na instrument guzikowy! To było pierwsze pokolenie akordeonistów, które przechodziło na guzikowy instrument.

A.K.: *Ukoronowaniem Twojej kariery był koncert na Uniwersytecie Muzycznym im. Fryderyka Chopina w Warszawie. Powiedz jeszcze o tym.*

R.K.: Ósmego listopada 2009 roku odbyła się sesja naukowa i koncert z okazji obchodów 50-lecia Profesjonalnego Kształcenia Akordeonistów w Polskim Szkolnictwie Muzycznym. Koncert był związany z historią akordeonistyki w Polsce. Zostałem zaproszony przez Uniwersytet Muzyczny jako muzyk ludowy, żeby zagrać na harmonii. Na takiej harmonii, która była protoplastką akordeonu. A muszę się pochwalić, że mam taki instrument z lat 20., z pierwszej serii firmy Piotra Stamiłowskiego. To bardzo dobra firma, która na europejskich wystawach zdobywała pierwsze miejsca. Jedną z najlepszych firm warszawskich. Bałem się, jak zostanę przyjęty. Elita polskich akordeonistów, Uniwersytet Muzyczny, jak zostanie przyjęta taka moja muzyka ludowa...?

A.K.: *Siedzą tuż przy akordeonu z całej Polski.*

R.K.: Jeszcze zagraniczni siedzieli. No i miałem tę wielką satysfakcję, wyszykowałem sobie instrument... grawerowany w drewnie, nie kryty masą. Instrument zabytkowy, utrzymany w dobrej kondycji. Wyremontowany i gra. Grałem melodie ludowe na harmonii, która ma tylko 24 basy. Dostałem ogromne brawa. Koleżanka mojego syna Roberta powiedziała tak: „Największe brawa dostał ojciec”. (śmiech).



*Dom Polonii w Pultusku,
z dyrektorem Grzegorzem Rusakiem*

Po koncercie patrzę, że profesor Włodzimierz Puchnowski idzie w moją stronę. Widocznie coś chce mi powiedzieć, schyliłem się, chciałem coś dodać, a profesor ucałował mnie, wiesz, na scenie! Miałem wielką życiową satysfakcję, że to kultuwuję, że warto było te instrumenty przechować, warto było je remontować, że są koncertowe, są piękne, są inne. Ktoś by powiedział – rupieć. Ale on jest utrzymany i sam jest historią!

A.K.: *Ale widzisz, nie każdy wie, kto to jest profesor Włodzimierz Lech Puchnowski.*

R.K.: To szef akordeonistyki polskiej!

A.K.: *Wspaniałe przeżycie. Bardzo Ci dziękuję za tę piękną rozmowę.*

R.K.: Wybierzesz coś tam...?

A.K.: *Wybiorę...*

*Rozmawiał Andrzej Kaluszkiewicz,
Łukowo, 2 maja 2013 r.*

ZAPOMNIANY PALADYN Z KOBYLINA (CZĘŚĆ TRZECIA)

Można udawać, że nic się nie dzieje, nie widzieć, zamknąć oczy, otulić się obojętnością. Można każdego dnia udawać, że nie ma polityki, że większy, silniejszy może narzucić swoją wolę, że to jego prawo, bo takie są wyroki historii. Że żyje się normalnym życiem.

Można. I pewnie nikt nie obwiniałby Konstantego, gdyby wybrał taką drogę. Ale można też każdego dnia budować państwo. Nawet gdy go nie ma. Państwo to nie tylko władza i knut. To wspólnota, która z własnej woli chce tworzyć swój byt. Na swój rachunek. Niechby marny, biedny, ale swój własny. I to jest droga, którą podążył nasz Paladyn. Choć siedł nią, kalecząc się, to ciągle

pragnął to swoje marzenie o wolności przekuć w rzeczywistość.

Dobra Kobylino Jedyty po śmierci Franciszka Ksawerego Siecińskiego w 1855 r. odziedziczyła w równej części jego dzieci. Po powrocie Konstantego z zesłania w 1858 r. spadkobiercy postanowili uporządkować skomplikowany stan prawny majątku. Wystąpili do Kancelarii Trybunału Cywilnego w Płocku o wydanie wyciągu wyroku z dnia 17 lipca 1829 r. i wypisów urzędowych innych dokumentów z powodu zagubienia takowych. Dziadek Konstantego, Józef Sieciński w 1804 r. pożyczył od Domu Handlowego Delmar z siedzibą w Berlinie 12000 tys. talarów na 6%, płacone od dnia św. Jana 1804 r. do 13 stycznia 1812 r. Jako że pożyczkobiorca spłacał tylko 5%, to 24 maja 1826 r. w Trybunale Cywilnym w Płocku sukcesorom Józefa Siecińskiego zasądzono kwotę 2000 tys. zł. pol. na rzecz wyżej wspomnianego Domu Handlowego. 26 lipca 1827 r. u notariusza w Poznaniu dokonano cesji sumy 12000 tys. talarów wraz z wszelkimi zaległymi procentami na rzecz Tadeusza Majewskiego. Następnie 9 września 1828 r. w Kancelarii Rejenta w Płocku celent Tadeusz Majewski dokonał cesji 72000 tys. zł. pol. kapitału i 6400 zł pol. zaległego procentu na rzecz Konstancji z Łąckich Siecińskiej. Wykaz hipoteczny potwierdza, że owe procenty zabezpieczono na dobrach Kobylino Jedyty. Jako że Konstancja z Łąckich Siecińska żadnym dobrowolnym sposobem od członków sukcesorów Siecińskich odebrać owych procentów nie mogła, to komornik w dniu 12 września 1828 r. dokonał zajęcia Dóbr Kobylino Jedyty w gminie pałuckiej i na dniu 19 grudnia 1828 dokonał wpisu do Księgi



Księga dóbr ziemskich Kobylino Jedyty,
Archiwum Państwowe w Mławie



*Posiedzenie Towarzystwa Rolniczego
w sali Pałacu Namiestnikowskiego*

Zaareztowań Nieruchomości Kancelarii Ziemiańskiej. Na podstawie tych wpisów sporządzono spis i wycenę dóbr. Majątek liczący 26,5 włók (ok. 445 ha) wyceniono na kwotę 126 700 zł. Obciążony był pożyczką 800 zł w Towarzystwie Kredytowym i nie opłaconymi podatkami na kwotę 629 zł i 1 gr. Nie zapłacono także cesji Tadeuszowi Majewskiemu (72000), były zaległości w dziesięcinie na kościół. Licytację wyznaczono na 17 lipca 1829 r. Wadium wynosiło 6000 zł. Cenę wywoławczą stanowiło 2/3 wartości wyceny majątku, tj. 84466 zł. 20 gr. Jedyną osobą, która stanęła do licytacji był Stanisław Gołęmberski, Patron Trybunału i to on dokonał zakupu Kobyliny za cenę wywoławczą. Majątek był do 24 czerwca 1830 dzierżawiony przez Ignacego Majewskiego (przypuszczam, że Majewscy byli ze sobą spokrewnieni). W lutym 1837 r. Stanisław Gołęmberski zeznaje w Kancelarii Trybunału Cywilnego w Płocku, że miał plenipotencje do zaliczowania dóbr Kobyliny Jedyty, a Konstancja z Łąckich Siecińska 9 lutego 1834 zaakceptowała nabycie tego majątku na rzecz jej osoby. Przed tą akceptacją mąż jej, Franciszek Sieciński zrzekł się spadku po ojcu. Zatem, dopiero po prawie 5 latach wiadomo, że Kobylin jest prawnie w posiadaniu Siecińskich. Konstancja jako kobieta zamężna nie

mogła sama nabyć tego majątku, bo zgodnie z Kodeksem cywilnym Królestwa Polskiego z 1826 r. w każdej sprawie administracyjnej potrzebowała reprezentacji męskiej. Być może, dzięki temu - nie do końca uczciwemu zabiegowi - Kobylin uchroniony został przed konfiskatą po Powstaniu Listopadowym. 11 grudnia 1858 Konstancy, Gustaw i Ksawera otrzymali wypis aktu kupna Kobyliny Jedyty przez ich mamę. 30 marca 1859 Stanisław Gołęmberski w tejże Kancelarii złożył deklarację, że dobra Kobyliny Jedyty wylicytował na rzecz i w imię Wielmożnej Konstancji z Łąckich Siecińskiej. W tym momencie wyrok uprawomocnił się, a rodzeństwo mogło wystąpić do Sądu Trybunału Cywilnego Guberni Płockiej z prośbą o sporządzenia klasyfikacji wierzycieli hipotecznych, szacunku na ich dobrach i ułożenia planu klasyfikacyjnego. Sędzia w Wypisie Urzędowym zapisał między innymi: *Dobra Kobyliny Jedyty włók do 26 i pół (ok. 445 ha) pszennej ziemi, które to licytantka zbyt tanio kupiła w roku 1829 bez uprawomocnienia wyroku. Osada przynosiła i przynosi jej sukcesorom nawet znaczne przy wysokich cenach zboża dochody a wierzyciele byli bez zasadnych korzyści przez aż lat 30. Wierzyciele zasługują tu na sprawiedliwe względy, gdyż Trybunał przed 31 laty nie doręczył wierzycielom obwieszczenia i nie rozlepił tego obwieszczenia dla publiczności we wszystkich 4 powiatach i różnych gminach, gdzie 7 dłużników mieszkało. Patron plus licytant zamiast w ciągu dni trzech, to aż w lat ośm złożył deklarację.* Sędzia Trybunału wyliczył, że na dzień 17 lipca 1859 r. wartość dóbr Kobyliny Jedyty umniejszona powinna



*Patent na członka czynnego
Towarzystwa Rolniczego
w Królestwie Polskim.
Taki dokument otrzymali
bracia Siecińscy*



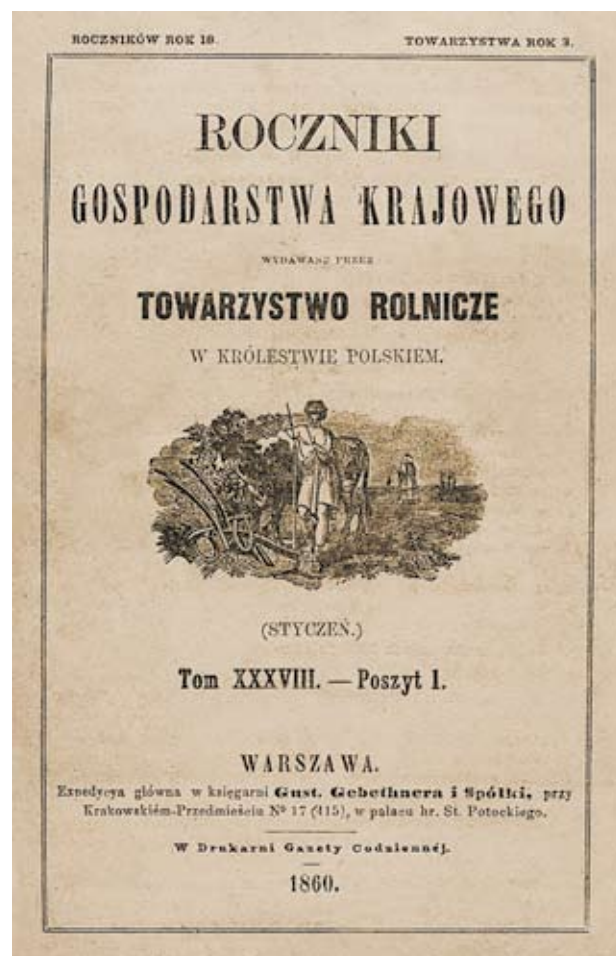
Hrabia Andrzej Artur Zamojski-inicjator
i prezes Towarzystwa Rolniczego

być o 14179 rubli srebrem i 80 kopiejek na tych funduszach. Rodzeństwo nie dysponowało taką sumą. Było zmuszone do zaciągnięcia pożyczek, do czego Konstancja i Gustaw Aktem Plenipotencji Specjalnej z 20 kwietnia 1860 r. i 14 czerwca 1861 r. upoważnili swego brata Konstantego Siecińskiego, dymisjonowanego Porucznika Wojsk Carsko-Rosyjskich. Konstanty pożyczył te pieniądze od stryja Leopolda Łąckiego rzeczywistego Radcy Stanu zamieszkałego w Warszawie i od Towarzystwa Kredytowego. Nasz Paladyn rozpoczął gospodarowanie w rodzinnych dobrach od uporządkowania zaległych spraw majątkowych i spłacenia z odsetkami wszystkich wierzycieli. Nie zgłosił sprzeciwu do planu klasyfikacji szacunku majątku. Bez wątpienia był człowiekiem honoru i nie chciał być posądzony o jakąkolwiek intrygę czy kłamstwo. Znał też swoje powinności i obowiązki wobec Ojczyzny. Taką to postawą zdobywał szacunek i uznanie w społeczeństwie.

Kłęska Rosji w wojnie krymskiej (1853-1856) przyniosła zmianę sytuacji politycznej w Europie. W okresie tzw. odwilży sewastopolskiej car Aleksander II zmuszony był do ustępstw również w Królestwie Polskim. Zezwolił na otwarcie w Warszawie Instytutu Agrotechnicznego na Marymoncie, Instytutu Sztuk Pięknych oraz Akademii Medyko-Chirurgicznej jako zapowiedzi przywrócenia skasowanego uniwersytetu. Na fali reform, dzięki staraniom hr. Andrzeja Zamojskiego, ukazem carskim z 12 listopada 1857 r. powołano do życia Towarzystwo Rolnicze, uroczyste otwarte 16 stycznia 1858 r., a hrabia został jego stałym i jedynym prezesem. Towarzystwo było nie tylko instytucją gospodarczą, ale również potężną, jedyną w swoim rodzaju organizacją społeczną tego czasu, która nie podlegała kontroli władz carskich. Ustawa Towarzystwa przewidywała, że: *wszyscy obywatele kraju bez różnicy stanu i wyznania, mogą być Członkami czynnymi*. Aby zostać Członkiem czynnym Towarzystwa, trzeba być w ogólnym zebraniu przez dwóch Członków czynnych przedstawionym, a następnie większością głosów wybranym i na Członka Towarzystwa zamianowanym. Czynny członek był zobowiązany corocznie z góry do Kasy Towarzystwa opłacić składkę 15 rb sr. (ok. 100 zł.). Zasadniczym celem działalności było zajmowanie się *przedmiotami dotyczącymi gospodarstwa wiejskiego we wszystkich jego gałęziach oraz naukami z niem związek mającymi*. Członkowie Towarzystwa zbierali się raz do roku w miesiącu lutym na Ogólne Zebranie, które dłużej nad tydzień trwać nie mogą. Oprócz posiedzeń Ogólnego Zebrania, Towarzystwo odbędzie corocznie jedno publiczne posiedzenie w miesiącu czerwcu, na którym czytane będą rozprawy konkursowe w przedmiotach rolnictwa dotyczących i rozdawane nagrody, oraz okazywane ciekawe płody i narzędzia rolnicze. Towarzystwo wydawało Rocznik Gospodarstwa Krajowego, który to członkowie otrzymywali bezpłatnie. Opowiadało się też za uwłaszczeniem chłopów, wprowadzeniem

czynszu w miejsce pańszczyzny oraz postulowało oświatę ludu wiejskiego. Na fali jego działalności zaczęły powstawać pierwsze szkoły ludowe, czytelnie, ochronki, popularyzowano naukę wśród młodzieży rzemieślniczej i powołano do życia Towarzystwo Wstrzemięźliwości. Organizacja rolnicza była pierwszą instytucją pozarządową w Królestwie i początkowo liczyła około 1500 osób. W drugim roku było już ich 2538, a pod koniec zaledwie trzyletniej działalności 4054 członków. Jak wskazuje lista członków Towarzystwa z 1861 r., z powiatu przasnyskiego zapisano 82 nazwiska. M.in. jest tam: Konstanty i Gustaw Siecińscy (zapisano Siciński), proboszcz pałucki ks. Ksawery Nałęcz, Tomasz Kolbe z Dąbrówki Brzozowej, Józef Narzymski z Bogatego. Trzy ostatnie nazwiska figurują również na liście członków Towarzystwa z 1860 r. (było na niej 69 osób z pow. przasnyskiego). Michał Gorczakow, Namiestnik Królestwa w liście do cara Aleksandra II pisał: *Spółceństwo rolnicze dzieli się jak wszyscy Polacy z klas wyższych na trzy kategorie. Pierwsza to ludzie, którzy w głębi duszy nie chcieliby rewolucji: drudzy, którzy chcą przywrócić tożsamość Polski, ale uważają powstanie za przedwczesne; trzeci i wydaje się być liczbą najważniejszą składa się z ludzi gotowych wspierać, a nawet podlegać do wszelkiego rodzaju oburzeń.* Prezes Andrzej Zamojski pilnował, aby Towarzystwo Rolnicze nie było terenem żadnej agitacji politycznej. Polityką zajmować się nie chciał i nie umiał, ale polityka sama do Towarzystwa i do niego przyszła. W lutym 1861 r. zamiast 25 jak wcześniej ustalono, już dnia 21 Towarzystwo Rolnicze rozpoczęło walne zebranie w sali pałacu niegdyś Radziwiłłowskiego, obecnie zwanego namiestnikowskim. Jednym z tematów obrad była sprawa oczynszowania i uwłaszczenia chłopów, ale również poddano ocenie bieg wydarzeń w Warszawie. Kiedy członkowie Towarzystwa dyskutowali w Pałacu Namiestnikowskim, warszawska ulica kipiała już od emocji i patriotycznych uniesień. Zaczynał się okres polskich

czasów, jak w terminologii rosyjskiej nazwano czterdzieści dni nieskrępowanej wolności. Była to pora manifestacji, w których brali udział także członkowie Towarzystwa (zapewne nie tak licznie, jak oczekiwałyby tego ulica). Najbardziej aktywnym w tym gronie był Józef Narzymski. W efekcie wszystkich zawirowań Aleksander Wielopolski 6 kwietnia 1861 r. rozwiązał najważniejszą wtedy dla Ojczyzny instytucję, jaką było Towarzystwo Rolnicze. *Na zebranych wielu razem Car widzieć nie życzy, więc rozwiązał swym ukazem Legion rolniczy* (Władysław Syrokomla). Zamach na Towarzystwo przyjęto jako osobistą zemstę Wielopolskiego w stosunku do Zamojskiego. Hrabia cieszył się ogromnym szacunkiem wśród Polaków, był najbardziej popularnym człowiekiem w kraju - w przeciwieństwie do swego adwersarza. Gdy wiadomość ta dotarła do mieszkańców, wrzenie ogarnęło całą Warszawę. 8 kwietnia 1861 r.



Wydawnictwo Towarzystwa Rolniczego



Margrabia Aleksander
Wielopolski

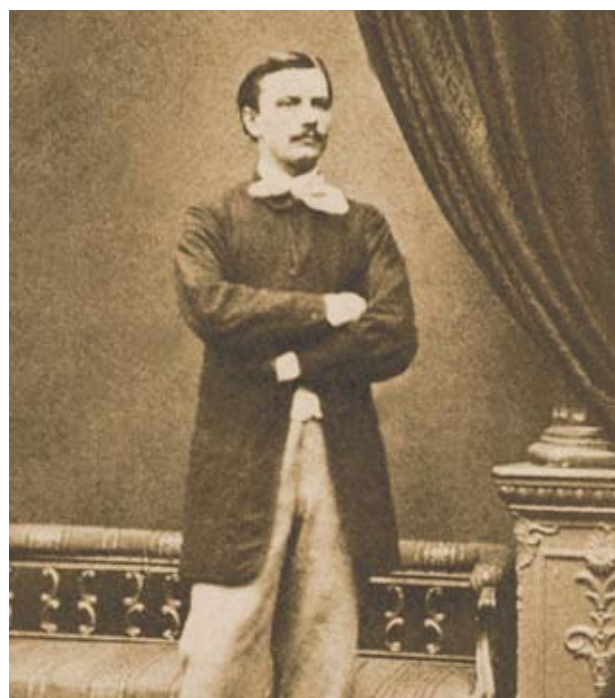
w wyniku ostrzeżenia przez Rosjan uczestników demonstracji przeciw rozwiązaniu Towarzystwa, na Placu Zamkowym zginęło około 100 osób, 200 zostało rannych.

Największym i niestety ostatnim dziełem Towarzystwa Rolniczego było uchwalenie 27 lutego 1861 r.

uwłaszczenia włościan, którą to ustawę uznano za: *przynoszącą zaszczyt szlachcie polskiej, że sama wolność ekonomiczną chłopów wyrzekła*. Fenomen tej organizacji opierał się na autorytecie prezesa i na odrzuceniu kryterium „stanowości” oraz pochodzenia. Towarzystwo *zbliżyło szlachtę pomiędzy sobą, zbliżyło powiat z powiatem, gubernię z gubernią, prowincję z prowincją; wyrobiło w szlachcie opinię publiczną nakazującą myśleć o Polsce, jej losach i dla niej pracować*. I częścią takiej to społeczności był nasz Paladyn-bohater, dla którego sprawa uwłaszczenia chłopów i oświaty była zawsze w sferze zainteresowań. Już jako członek Tajnego Kółka podnosił tę kwestię i widział w niej drogę do upragnionej wolności Ojczyzny.

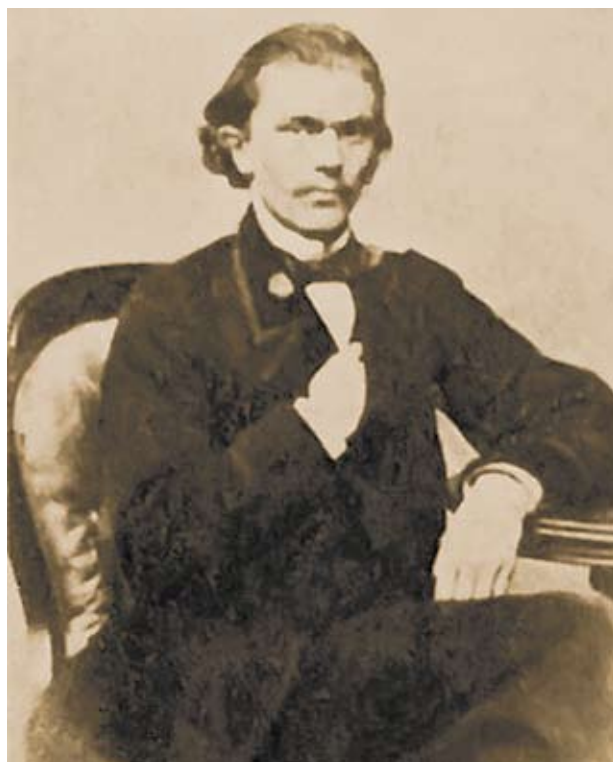
Po rozwiązaniu Towarzystwa Rolniczego Wielopolski musiał wskazać inne pole działalności dla obywateli Królestwa Polskiego, aby rozładować napięcie i niezadowolenie panujące w społeczeństwie. „Naciskał” na namiestnika, a on na cara o ogłoszenie wyborów do Rad powiatowych, miejskich i gubernialnych: *należy szybciej zająć nimi umysły, mimo że przewiduję niepokoje nieuniknione w podobnych sytuacjach*. Jednocześnie administracja carska pracowała już nad wprowadzeniem stanu wojennego w Królestwie, ale

ogłoszenie jego odłożono na czas po wyborach: *poprzez ekstra legalne czynności oczyścić kraj z ludzi, którzy wyraźnie już pokazali siebie jako szkodliwi dla rządu i społecznego spokoju*. Te wydarzenia jak żywo przypominają początek lat 80-tych XX w. i późniejszy stan wojenny, wprowadzony w stulecie tego pierwszego! Projekt prawa o wyborach do Rad car zatwierdził 26 maja/5 czerwca 1861 r. Rozwiązanie Towarzystwa wprowadziło spory chaos wśród obywateli mieszkujących na wsi. Przez trzy lata działalności, szlachta przywykła odbierać wskazówki postępowania od Komitetu Towarzystwa za pośrednictwem korespondentów, którzy po powiatach i okręgach jeździli, a teraz za sprawą margrabiego zostali skasowani. Już na początku lata 1861 r. w okręgach i powiatach dawnym polskim zwyczajem zbierały się sejmiki szlacheckie, naradzające się nad wprowadzeniem uchwalonego uwłaszczenia włościan oraz nad wyborami do Rad powiatowych i gubernialnych. Wybierano spośród siebie zaufanych i takowych po kilku, a przynajmniej po dwóch z każdego województwa wysłano na miejsce dawnych korespondentów rolniczych do Warszawy, po



Zygmunt Padlewski, założyciel Kółka Oficerów,
członek Centralnego Rządu Narodowego

wiadomości i wskazówki, czego się mają trzymać na prowincji. Wielu ludzi w trosce o dobro kraju zadawało pytanie, czy udział w radach i wyborach nie będzie zdradą kraju? Odpowiedzi udzielił hr. Andrzej Zamojski, mówiąc: *nie wolno teraz ani zmieniać kierunku, ani odwołać wyborów, trzeba brać co dają*. Dziennik praw stanowił, że w powiatach mających do 120000 mieszkańców rada składać się będzie z 15 członków. Nadto będzie wybranych tylu zastępców. Członkowie będą wybierani na lat sześć, ale co trzy lata połowa ich będzie zmieniona przez losowanie. Zwyczajne posiedzenia rady odbywać się będą cztery razy do roku i trwać będą po sześć dni, w razie potrzeby do dni piętnastu. Na każdym posiedzeniu Rady obecny będzie komisarz rządowy, który ma prawo zawiesić posiedzenie. Przedmiotem obrad Rady będą szeroko pojęte potrzeby i dobro powiatu. Czynne prawo wyborcze do Rad posiadali mężczyźni bez różnicy wyznania, którzy ukończyli 25 lat, umieli czytać i pisać, płacili podatek w wysokości 6 rubli (właściciele), 18 rubli (dzierżawcy) oraz ci, którzy pobierali pensje w wysokości 180 rubli. Bierne prawo wyborcze uzyskiwali natomiast wszyscy właściciele nieruchomości, którzy ukończyli 30 lat i płacili podatek w wysokości 15 rubli. Dotyczyło to w pierwszym rzędzie tzw. fabrykantów oraz rzemieślników pod warunkiem, że zatrudniali oni w ostatnim roku co najmniej 10 czeladników. Bierne prawo wyborcze przysługiwało ponadto tym wszystkim, którzy się *wslawili talentem i nauką*. Głosowanie odbywać się miało za pomocą wrzucanych do urny kart, własnoręcznie pisanych. Królestwo Polskie podzielono na 89 okręgów wyborczych (nie mniej niż 200, a nie więcej niż 600 wyborców w okręgu). W miastach, w których według ustawy nowa instytucja miała powstać, rozwijano nadzwyczaj czynną agitację. Układano listy wyborcze, dyskutowano, spierano się i w całym kraju na chwilę *zapomniano* o manifestacjach. Prasa opozycyjna zachęcała obywateli do wzięcia udziału w wyborach: *musimy koniecznie przystąpić*



Józef Narzymski, właściciel Bogatego,
członek Towarzystwa Rolniczego i Centralnego
Komitetu Narodowego

do zbliżających się wyborów do Rad, aby wprowadzić do nich *zacznych, kraj miłujących ludzi, którzy by sprawę narodową mieli na oku*. Ujawnienie list wyborczych trwało od 27 sierpnia do 6 września. Dziesięć następnych dni służyło do zanoszenia rekursów (odwołań). W Guberni Płockiej było sześć powiatów i 11 okręgów wyborczych. Czynne prawo przysługiwało 3996 wyborców, zaś bierne 1358 osobom. Za wybranych uznawano tych, którzy otrzymali największą ilość głosów. Wybory wyznaczono od 23 września do 10 października, wyłączając niedziele, soboty i święta izraelskie. Przebiegały one dość spokojnie, gdzieś doszło do incydentów. Jednym z nich był lokal wyborczy w Ciechanowie. Pawliszczew w Siednicy napisał: *drobna szlachta mazurska, która tłumnie zjechała się na wybory, złapała burmistrza ciechanowskiego, Szwałkowskiego i koniecznie chciała go powiesić jako zdrajcę i szpiega. Ledwie go od śmierci ocalił prezes późniejszej Rady powiatowej Nostiz-Jackowski*. Skład Rady Powiatu Przasnyskiego w pierwszym i jedynym roku istnienia był



Mikołaj Pawliszczew, autor cotygodniowych raportów do cara na temat sytuacji politycznej w Królestwie Polskim

następujący: Przewodniczący - Józef Jackowski z Głinojecka, ks. Modest Chodupski - proboszcz parafii Dzierzgowo, Roman Kleczewski z Przasnysza, Ludwik Mieczysławski z Gruduska, Konstanty Sieciński z Kobyłina, Józef Gutkowski ze Śmiecina, Teofil Rykowski z Golan, Maciej Smoleński ze Szczurzyzna, Ezechiel Lasocki z Karwacza, Franciszek Dembowski z Lipy, Hipolit Włodek z Niestumia, ks. Ksawery Nałęcz - proboszcz z Pałuk, Seweryn Ciemniwski z Gołotczyzny, Roman Górecki z Rydzewa, Juliusz Engelke z Sarnowej Góry. Wybrano również 10 zastępców: Aleksander Ropelewski (nie ustaliłam skąd pochodził), ks. Stanisław Czapliński - proboszcz z Bogatego, Teofil Pilitowski (b.d.), Wincenty Pszczółkowski (b.d.), Ignacy Kamiński (przypuszczam, że to ks. Ignacy Kamieński proboszcza z Gruduska), Włodzimierz Płaczyński (Płonczyński) z Bogatego, Wincenty Miedzielski z Pęczków, Stanisław Demby (Dęby) z Wkry, Józef Milewski z Kotermania, Tomasz Kolbe z Dąbrówki Brzozowa. Nasz Paladyn musiał cieszyć się dużym szacunkiem wśród wyborców. Był piąty na liście wśród piętnastu elektów. Wybrani radni wraz z zastępcami w większości (21 osób) byli członkami

rozwiązanego Towarzystwa Rolniczego. Wybory odbyły się, ale Rady Powiatowe w roku 1861 zwołane być nie mogły. Zaledwie cztery dni po ostatnim dniu wyborów, 14 października 1861 wprowadzono na terenie całego Królestwa stan wojenny (ja ciągle pamiętam ostatnie słowa z przemówienia generała Jaruzelskiego *stan wojenny na obszarze całego kraju*. Cóż za zbieżność!). Kiedy obywatele w dużej części zostali spacyfikowani, to Rada Administracyjna Królestwa decyzją z 5 sierpnia 1862 r. poleciła przystąpić do otwierania Rad Powiatowych, *ale nie wszędzie, a tylko w miastach, które zostały najmniej zarażone duchem anarchii*. W guberni plockiej wyznaczono inauguracyjne posiedzenie rady dopiero na 29 października/10 listopada. W ocenie władz zaborczych ludność zamieszkująca ten teren musiała być bardzo nieprawomyślna. I nie myliły się. Z 39 Rad Powiatowych w Królestwie rozwiązano dwie - Radę Powiatową Siedlecką, a następnie Radę Powiatową Przasnyską. Na pierwszym i jednocześnie ostatnim posiedzeniu przewodniczący Nostitz-Jackowski, wygłaszając mowę końcową (wg. władzy *tendencyjną*) w której potępił pobór do wojska, wspominał o wywiezieniu



General-major Wojciech Albert Ostrowski

hr. Andrzeja Zamojskiego za adres (list), do napisania którego szlachta pozwolenie otrzymała. Pomimo protestów komisarza rządowego, członkowie Rady mówę tę wprowadzili do protokołu posiedzenia, a dodatkowo radni: *i w innych sprawach wyrażali niestosowne sądy*. Tak jak większość Rad w Królestwie i nasza Rada nie dokonała wyboru członków do komisji popisowych (poborowych). Był to sprytny zabieg Wielopolskiego, który chciał aby całe odium nienawiści za pobór do wojska spadło na szlachtę. 16 grudnia 1862 r. Wielki Książę Konstanty jako namiestnik i margrabia Wielopolski jako naczelnik rządu cywilnego podpisali postanowienie rady administracyjnej Królestwa, która rozwiązała Radę Powiatową Przasnyską. Wszystkie postanowienia Rady uznała za nieważne, niebyłe i ogłosiła rozpisanie nowych wyborów. W wirze wypadków, które za chwilę objęły cały kraj, wybory w Przasnyszu nie odbyły się, a pozostałe Rady umarły po kilku miesiącach cichą śmiercią. We wrześniu 1862 r. hr. Andrzej Zamojski pod eskortą rotmistrza Sierżputowskiego został zmuszony do wyjazdu do Petersburga, aby wytłumaczyć się carowi z treści adresu: (...) *My zaś jako Polacy, wtedy tylko rząd z zaufaniem popierać będziemy mogli, gdy rząd ten będzie naszym polskim i gdy Ustawą Zasadniczą przy wolnych instytucjach złączone będą wszystkie prowincje Ojczyznę naszą składające. Dzielić miłości nie możemy - Ojczyznę naszą całą kochamy w granicach, jakie jej Bóg zakreślił, a tradycje historyczne przekazały*. Było to wygnanie na zawsze, ale idee jego nie umarły; ponieśli je ci, którzy ciągle byli nie prawomyślni. Bo są ludzie, którzy nigdy nie rezygnują i nie poddają się. Jednym z nich był nasz Paladyn. Konstanty pomimo bardzo trudnej i zawilej ścieżki życia, musiał mieć duże grono znajomych i przyjaciół oraz rozległe stosunki. Większość emigrantów (wróciło ich około 9000) byli to ludzie mimo nieszczęść i niedoli zahartowani, wyćwiczeni w spiskach, politykujący i często tą polityką w dużej mierze zajęci.



Ostatni obrońca Sewastopola, stuletni
generał major Wojciech Ostrowski

Po wojnie krymskiej również w wojsku carskim nastała *odwilż*. Zaczęły zawiązywać się kółka, skupiające zarówno oficerów polskiego pochodzenia jak i Rosjan, którzy pozostawali pod wielkim wpływem ideologii narodowo-wyzwoleńczej. Duży wpływ na ówczesną młodzież miała prasa podziemna, która zachęcała do współpracy polskich oficerów zrzeszonych w kołach z organizacją oficerów rosyjskich. Pierwsze kółka powstały w szkołach wojskowych i jednostkach stacjonujących na terenie Rosji, ale już w 1861 r. działały w Królestwie Polskim i ściśle współpracowały z oficerami armii carskiej stacjonującymi na jego obszarze. Jednym z twórców i aktywnym działaczem w tych strukturach był Zygmunt Padlewski, późniejszy naczelnik wojenny województwa płockiego i dowódca oddziału, w którym walczył Konstanty. Jednym z zadań sprzysiężonych był kolportaż tajnych broszur i apeli do żołnierzy oraz wyszukiwanie i werbowanie nowych członków: *ludzi sprytnych, zdecydowanych i zdolnych do czynów*. Najbardziej rozpowszechnioną była odezwa: *Oficerowie rosyjscy do żołnierzy wojsk rosyjskich*

w Polsce, że swoim credo: *Interes wolności rosyjskiej wymaga wyzwolenia Polski*. Szacuje się, że w całym okresie swej działalności (1857-1864) Kółko Oficerskie liczyło około 400 członków. Największy procent wojskowych znajdujących się w sferze wpływów organizacji zajmowały

pułki piechoty, a w nim 28 Połocki Pułk Piechoty z 22 sprzysiężonymi. Wśród nich najprawdopodobniej, jak pisze prof. Włodzimierz Djakow, był por. Konstanty Sieciński. Od 14 listopada 1854 r. pułkiem dowodził płk. Wojciech Albert Ostrowski, Polak urodzony w rodzinie szlacheckiej w 1809 r. Z początkiem 1862 r. regiment zostaje przeniesiony z terenu Białorusi do Polski, w rejon Piotrkowa i Opoczna. Oddział ten miał bogate tradycje niepodległościowe, a kadra oficerska prześlągnięta była nieprawomyślnością. Jednym z objawów owej nieprawomyślności według władz wojskowych, była samobójcza śmierć oficera por. Wollerta, popełniona na znak protestu przeciwko ciemniężącej Polaków polityce carskiej. Jako że samobójstwo miało charakter patriotyczny, porucznika pochowano zgodnie z ceremoniałem kościelnym. Pogrzeb odbył się 16 kwietnia 1862 r. w Piotrkowie w asyście orkiestry pułkowej, trzydziestoosobowego plutonu z dwoma oficerami na czele, licznych kolegów i miejscowej ludności. Z powodu tych wydarzeń zamierzano pozbawić Ostrowskiego dowództwa, ale dzięki wstawienictwu zwierzchnika pozostał na stanowisku (na kilka tygodni przeniesiono go na dowództwo do włodzimierskiego pułku). Konstanty musiał dobrze znać swojego przełożonego. Spędził z nim ostatnie 3 lata w pułku, w tym rok w czasie oblężenia Sewastopola. Wojciech Ostrowski był ogólnie szanowanym człowiekiem, kulturalnym, miłym, uważał się za Polaka i wszędzie mówił po polsku. Dowództwa pułku pozbawiono go ostatecznie w okresie Powstania Styczniowego. Wiązało się to głównie ze sprawą zdrady chorążego Witolda



Kurier Warszawski, 12 czerwca 1911 r.

Udymowskiego, o której tuszowanie posądzono pułkownika. Chorąży oraz inni trzej oficerowie pułku w nocy z 10/22 na 11/23 stycznia 1863 r. wraz z Powstańcami wzięli udział w udanym ataku na Radomsko. Był tam również Franciszek Pajewski z Przytoki. Niestety, Witold i jego dwóch pułkowych kolegów następnego dnia dostali się do niewoli i na mocy wyroku zostali rozstrzelani w Piotrkowie 29 lutego 1863 r. (...) *odezwały się bębny, a po chwili komenda, następnie salwa karabinowa. Skazańcy powieszali głowy. Jeden z nich jeszcze się rzucał. Był to Udymowski. Do niego podbiegł wuj jego, przyłożył rewolwer do serca i wystrzelił. Skazaniec obwisł, a pułkownik zatrzęsął się od płaczu.* Witold Udymowski był siostrzeńcem Ostrowskiego. Na kanwie tej historii Stefan Żeromski, napisał opowiadanie *Echa Leśne*. O Połockim Pułku Piechoty kilkakrotnie wspominał w swoich raportach do cara Mikołaja Pawliszczew. Powodem były tajne odezwy i broszury, które żołnierze otrzymywali pocztą lub znajdowali na terenie jednostki. Z pułku do szeregów powstańczych odeszło jeszcze kilku oficerów i szeregowych. Po Witoldzie Udymowskim głośna była dezercja pisarza pułkowego, podoficera Iwana Pawłowa. W związku z szerzeniem się ruchu rewolucyjnego w 28 Połockim Pułku Piechoty i jego *niełojalnością*, pułkownika uznano za niegodnego tego stanowiska i 27 kwietnia 1863 r. decyzją generała Berga został zwolniony z zajmowanej funkcji. Wysłano go na roczny urlop zdrowotny i chciano o nim zapomnieć. Po roku Ostrowski poprosił o przywrócenie do służby, ale dopiero w styczniu 1865 r. przeniesiono go w stan



Sandomierz, nagrobek generała Wojciecha Ostrowskiego

spoczynku z awansem na generała majora. Nie wiadomo, czy Wojciech Ostrowski był związany z Komitetem Oficerów Rosyjskich w Polsce lub polskimi organizacjami powstańczymi (pewne fakty pozwalają na sformułowanie takiej tezy), czy też jego *wina* sprowadzała się do tego, że nie potrafił lub nie chciał przeciwdziałać propagandzie rewolucyjnej w pułku. Od 1 maja 1875 r. Ostrowski zostaje plenipotentem majoratu Władimirowo, utworzonego po Powstaniu Styczniowym i nadanego przez cara płk. Włodzimierzowi Dobrowolskiemu, który przynależał do spisku oficerów. W skład majoratu wchodził między innymi folwark Ciekoty, który dzierżawił ojciec Stefana Żeromskiego - Wincenty. Zatem pisarz osobiście znał generała i tragiczną historię rodziny. Wojciech Albert Ostrowski, emerytowany generał major wojsk carskich, zmarł w Sandomierzu 24 czerwca 1911 r. w wieku 102 lat.

Czy może dziwić fakt, że 28 Połocki Pułk Piechoty miał najwięcej nieprawomyślnych spośród wszystkich 61 jednostek w armii carskiej? Nie! Jeśli choć trochę poznało się Konstantego i jego

religię. Ojczyzna niepodległa była dla niego imperatywem kategorycznym, skłaniającym człowieka honoru do działania i nieprawomyślności w stosunku do zaborcy. Ale nie tylko nasz Paladyn tak działał. W strukturach podziemnych w Warszawie czynni też byli jego znajomi: Józef Narzyski, uchodzący wraz z Zygmuntem Padlewskim za największego rewolucjonistę i Mateusz Gralewski, przyjaciel z Tajnego Kółka i wspólnej wędrówki na Kaukaz. Zapewne byli i inni, o których nie mam wiedzy. Dzięki działalności Kółek Oficerskich do oddziałów Powstańczych wstąpiło przeszło 700 byłych wojskowych armii rosyjskiej, z tego około 200 oficerów. Prof. Włodzimierz Djakow napisał, że por. Konstanty Sieciński był prawdopodobnie członkiem Kółka Oficerów Polskich w wojsku rosyjskim, a ja śmiem twierdzić, że był na pewno, ponieważ wiele elementów z jego życiowej wędrówki ku wolności układa się w analogiczną całość. O dalszym marszu mazowieckiego Paladyna w stronę jutrzejszej swobody napiszę w czwartej części kolei jego losu.

Marżena Janina Kowalik

Z etnograficznej teki

O ZABAWACH, GRACH I FOLKLORZE SŁOWNYM DZIECI WIEJSKICH

Naszym wnukom i prawnukom wychowanym na Internecie oraz grach komputerowych trudno zrozumieć opowieści dziadków czy pradziadków o ich dzieciństwie, przypadającym na schyłek lat międzywojennych, wojnę i szarżę PRL-u. Życie wtedy nie było łatwe, dla wielu rodzin naznaczone ciężką pracą i ubóstwem. Nie oznacza to jednak, że nie było w nim miejsca na zabawę. Miała swoje zabawy młodzież, mieli ludzie dorośli, miały je również dzieci. Nie było wprawdzie klocków lego, lalek Barbie, smartfonów, komputerów, ale było mnóstwo gier i zabaw na świeżym powietrzu, które integrowały społeczność dziecięcą oraz pozytywnie wpływały na psychiczny i fizyczny rozwój dzieci. Lalki uszyte z gałganków, fajerka toczona po drodze za pomocą wygiętego kawałka drutu czy wiatraczek wystrugany z patyków, dawały maluchom nie mniej radości, niż współczesne



Dzieci wiejskie, W. Gerson

drogie zabawki oferowane przez handel. O ile matka – zimą czy latem - nie mogła niegdyś napędzić dzieciaki ze dworu do domu na posiłek i do spania, tak teraz częstokroć nie jest w stanie wyprawić na świeże powietrze potomstwa *przyspawanego* do komputera.

W czasach utrwalonych w pamięci dziadków i jeszcze wcześniej, dzieci wiejskie od najmłodszych lat wdrażane były do pomocy w gospodarstwie rodziców. Pięcio-sześcioletni maluch pasał już gęsi, nieco starsze dziecko opiekowało się młodszym rodzeństwem, pomagało w prostych pracach domowych, w obejściu i na polu. Ośmio-dziesięcioletni chłopiec stawał się pastuchem rodzinnego stadka bydła lub jedynej krowy żywicielki, prowadzanej codziennie po ugorach i miedzach, poganiał konie w maneżu, itd. Jeszcze smutniej wyglądało życie dzieci wiejskich w czasach pańszczyźnianych i pouwłaszczeniowych. W najgorszej sytuacji byli dzieci z wielodzietnych rodzin nędzarzy, którzy nie byli w stanie wyżywić swojego potomstwa. Rodzice tacy zmuszeni przez życie, oddawali kilku – kilkunastoletnie dzieci na służbę do bogatszych gospodarzy, a ci nie zawsze traktowali takich pomocników należycie i po chrześcijańsku, a już na pewno nie tak, jak własne potomstwo. Dziecko oddawano na służbę na określony czas, zwykle w zamian za wynagrodzenie w naturze wynegocjowane przez rodziców lub jedynie za nędzne jedzenie, przyodziewek i dach nad głową. Szli na służbę



Gęsiarka, J. Rapacki

chłopcy i dziewczęta. Głównym zajęciem chłopców było pasienie bydła, dziewczęta pasaly gęsi, świnie, pomagały w pracach domowych gospodyni i niańczyły jej małe potomstwo. Dzieci gospodarzy po wykonaniu prac nakazanych przez rodziców mogły robić co chciały. Inaczej traktowano małych służących, których chlebobdawcy gnali ustawicznie do roboty, nie pozostawiając wiele czasu na odpoczynek. Ciężka i monotonna praca nie wypełniała jednak całkowicie dnia małego człowieka. Młodość ma swoje prawa. Dzieciaki ganiane ustawicznie do różnych zajęć przez rodziców, starsze rodzeństwo i gospodarzy u których służyli, wykorzystywały każdą nadarżającą się okazję na leniuchowanie i przyjemności, a chwil beztroskiej zabawy w życiu wiejskiej dzieciarni przybywało w miarę przybliżania się do czasów nam współczesnych.

W czasach zaboru rosyjskiego nie było obowiązku szkolnego. Do nielicznych wówczas szkół wiejskich uczęszczały jedynie dzieci najbogatszych gospodarzy, głównie chłopcy. Po 1918 r. w odrodzonej Polsce wprowadzono obowiązek szkolny. Każde dziecko w wieku szkolnym – także wiejskie – chciało czy nie chciało, winno było chodzić do szkoły. Za nieposyłanie dzieci do szkoły groziły rodzicom kary pieniężne. W praktyce bywało z tym różnie. W okresie wytężonych prac polowych wiosną i jesienią szkoła się wyludniała, późną jesienią i zimą frekwencja w izbach szkolnych rosła. Dzieci na ogół biegaly do szkoły

chętnie, jedne z chęci zdobywania wiedzy, inne aby uciec od domowych obowiązków, jeszcze inne dla kontaktu z rówieśnikami. Przerwy spędzane na podwórku szkolnym i droga powrotna do domu były okazją do zabaw i figli, które czasami zamieniały się w bijatyki.

Na porządku dziennym było stosowanie kar cielesnych w myśl zasady: *Żeby nie było kary, to by nie było miary*. Matka jak to matka, na przewinienia pociech patrzyła bardziej wyrozumiale niż ojciec. Piekliła się czasami i pomstowała na psotną dźwiatwę nie szczędząc klapsów, smagała urwisów po plecach i tyłkach fartuchem lub ścierką. Ojciec wymierzał sprawiedliwość za poważniejsze występki, używając w tym celu rzemienia lub paska podtrzymującego spodnie. Winowajca rozłożony na stołku dostawał cięgi w tyłek. Przed wojną kary cielesne stosowano także w szkole, w pełni akceptowane przez rodziców. Były to najczęściej *łapy* wymierzone przez nauczyciela linijką w dłoń winowajcy. Na porządku dziennym było także pociąganie za uszy, którego to nawyku niektórzy starzy nauczyciele nie potrafili się wyzbyć również w powojennej Polsce. Powszechną karą było stanie lub klęczenie w kącie (bywało, że i na grochu) z opuszczonymi lub podniesionymi rękami. Najbardziej poniżające dla ucznia było *siedzenie w kozie*, nazywane elegancko *zostawianiem po lekcjach*. Jednak dla niektórych uczniów większą jeszcze karą, fundowaną przez życie, było samo wbijanie wiedzy do głowy.



Pastuszkowie przy ognisku, J. Chelmoński



Dzieci wiejskie, ok. 1960, archiwum MAiE w Łodzi

Zabawa jest nieodłącznym elementem każdej kultury i towarzyszy ludziom od zarania dziejów pod każdą szerokością geograficzną. Zrodziła się z naturalnych potrzeb życiowych. Pierwotnie nie stanowiła rozrywki w dzisiejszym znaczeniu, ale wiązała się z różnymi obrzędami i rytuałami praktykowanymi w danej społeczności, wymagającymi określonej symboliki gestów, magicznych formuł, tańców, melodii i rekwizytów. Zjawisko to można dostrzec oglądając chociażby filmy o życiu Indian Amazonii czy Papuasów z Nowej Gwinei. Owe pierwotne formy przekazywane kolejnym pokoleniom, z upływem czasu wzbogacano o nowe elementy twórcze i rekwizyty, przekształcając w różne formy gier i zabaw. W zabawach uczestniczyli ludzie dojrzały, młodzież i dzieci, co sprzyjało zacieśnianiu więzi w obrębie grupy społecznej. Dzieci poprzez naśladownictwo dorosłych uczyły się wzorów kulturowych, później stosowały

je w życiu dorosłym i przekazywały następnym pokoleniom. Z czasem zabawy i gry stały się domeną dzieci.

Wiele polskich zabaw także sięga korzeniami obrzędów i zwyczajów naszych przodków. Dostrzec to można m.in. w układach zabawowych opartych na korowodach, kołach, łańcuchach, rzędach, szeregach, jak chociażby w zabawach: *Siała baba mak*, *Jaworowi ludzie*, *Ojciec Wergiliusz*, *Mało nas, mało nas do pieczenia chleba*, *Stoi różyczka*, itd. Pierwszą polską wzmianką źródłową o zabawach dziecięcych jest zapis w dwunastowiecznej „Kronice” Wincentego Kadłubka, który w tłumaczeniu z łaciny brzmi: *Jest zwyczajem dzieci grać ze sobą w cet i w liszkę i na kiju długim jeździć*. Cetno oznacza liczbę parzystą, lichy – coś nieparzystego. *Cetno i lichy* to jeszcze współcześnie znana dobrze noworoczna gra dla dwóch osób w Puszczy Białej koło Pułtusza. Jedną trzyma w zaciśniętej dłoni kilka



Figurki z ciasta do zabawy – cielaczki, kogutek i kurka, Września k. Sierpca



Na wiejskim podwórku, Kargoszyn, ok. 1965 r.

fafernuchów (drobne ciasteczka) i pyta - *cetno czy lichy?*, druga osoba zgaduje. Za trafną odpowiedź w nagrodę otrzymuje ciastka. Gra była szczególnie popularna wśród sympatyzujących ze sobą dziewcząt i chłopców. Jazda na kiju, wspomniana przez ekscelencję Kadłubka odnosi się prawdopodobnie do zabawy naśladowującej jazdę na koniu.

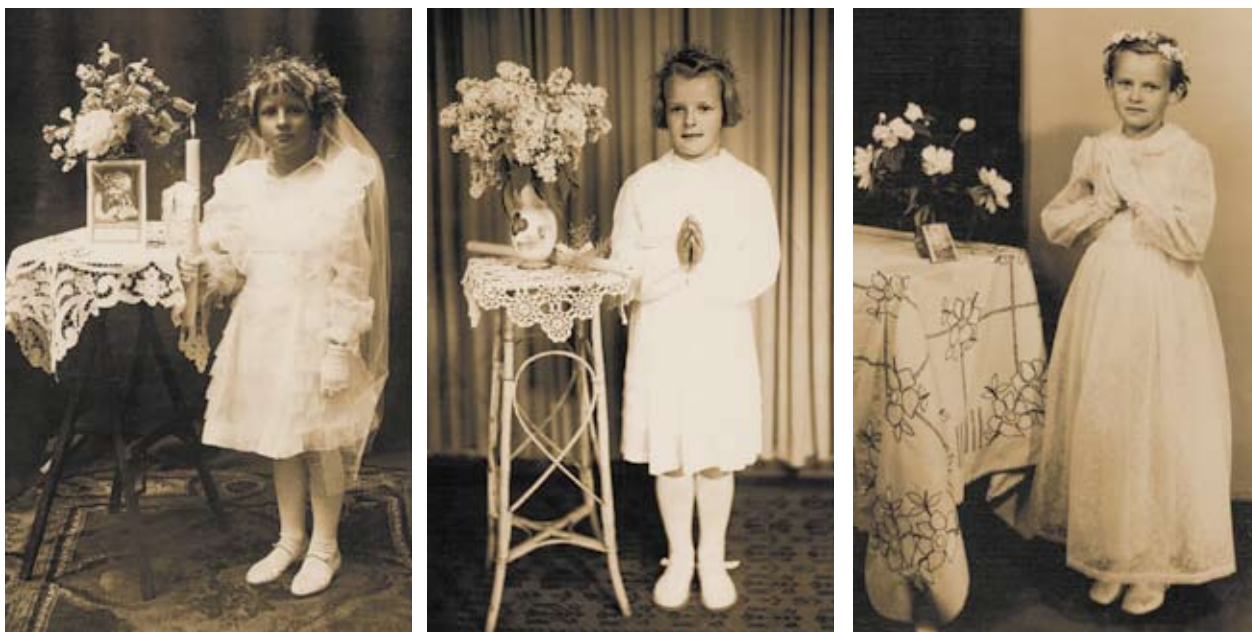
Jedną z pierwszych letnich rozrywek dziecka wiejskiego było grzebanie w piasku przy pomocy patyka, łyżki z ułamanym trzonkiem, pudełka po paście do butów służącego za formę do stawiania babek. Nieco starsze maluchy z rozkoszą - latem po deszczu - *robiły masło*, tzn. miesiły bosymi nogami ciepłe błoto w kałuży. Niewyszukaną zabawką, ale dającą wiele radości były figurki zwierząt lepiące z ciasta. Formowała je zwykle matka lub babka dla swoich pociech w czasie droczenia zacierki lub klusek. Cacka te były nietrwałe, ale zyskiwały dłuższy żywot po wrzuceniu na chwilę do wrzątku lub podpieczeniu na płycie kuchennej. Rodzice opowiadali małym dzieciom rymowanki znane w Ciechanowie i okolicach: *Srocčka (Kokoszka) kaszę warzyła i przy piecu studziła. Temu dała na tyżeczce, temu dała w miseczce, temu w skorupce, temu dała po dupce, temu łepk urwała i fru, fru poleciała*. Osoba recytująca wierszyk, przy wyliczaniu zaginała jeden palec wyciągniętej dłoni, a na koniec chwytła za nos małego słuchacza. Inna rymowanka to: *Moja kicia, gdzieś ty była? – W komóreczce mleczko*

piła. – A mnie nic nie zostawiła! A psik! A psik! psik! W czasie tej zabawy osoba starsza gładzi dziecko po policzkach, a na koniec śmiejąc się, delikatnie po nich klepie. Ojcowskie pieścizny z maluchami polegały najczęściej na noszeniu dzieciaków na barana, huśtanie na kolanach oraz zabawę tłusty baran do kapusty. Huśtaniu towarzyszyła często rymowanka: Tak pan jedźcie po obiedzie, sługa za nim jak za panem. Kazimiera Kawecka pochodząca z Kownat Zendowych brała swoje wnuki na kolana i podrzucając lekko do góry recytowała: - Równa droga, równa droga, równa droga ..., następnie siła i częstotliwość podrzutów raptownie rosła, a towarzyszyły im słowa: - po bruku, po bruku, po bruku ..., na koniec padało słowo: - bęc! i dziecko śmiejąc się lądowało na podłodze.

Do ulubionych rozrywek chłopięcych należała zabawa w konie. Jeden lub dwóch chłopców wkładało na siebie *uprzęż* ze sznurka lub łyka. Inny trzymał lejce tej upręży i poganiał konie biczykiem z patyka i kawałka sznurka. Cały ten zaprzęg galopował raźnie po drodze, wygonie lub podwórzu, parszcząc i rżąc od czasu do czasu radośnie. Zabawę w konie dzieci folwarcznych w Opinogórze tak wspomina Stanisław Łukasiewicz: *Przysposabiały się więc do roboty folwarcznej dzieci już wczesnymi dziecięcymi zabawami. Chłopcy najchętniej bawili się w jazdę końmi, zaprzęgali do ciężkiego wozu parę lub czwórkę, popędzali je długim*



Pokaz toczenia obręczy, Muzeum Rolnictwa w Ciechanowcu



Pamiętkowe fotografie komunijne, Kargoszyn, Ciechanów, 1950-1960

batem, wydzierając się z zapiekłym formalnym gniewem. Wozili „słomę”, „kartofle” – lub najchętniej „cztery konie orali ciężkim pługiem” zrobionym z ostrego patyka obciążonego cegłą – na polu, czyli na łączce pomiędzy czworakami. Taki orzący formalny konie, jak należało, najokropniejszymi słowami, walił je okrutnie batem, w nieprzejednany sposób złościł się na każde ich stąpanie. Dopiero wymyslenie, wrzask czyniły orkę prawdziwą.¹

Marzeniem każdego chłopca był własny scyzoryk. Narzędzie to, nabyte na odpuscie lub jarmarku za skrupulatnie uciulane groszaki, подарowane przez rodzica lub innego dobrodzieja, czyniło życie młodego człowieka zdecydowanie łatwiejszym i barwniejszym. W powszechnym użyciu były tanie, proste i składane noże osadzone w drewnianej rękojeści, nazywane potocznie *nożykiem* lub *cygankiem*. Nożyk miał wielorakie zastosowanie, a przydatny był szczególnie pastuchom. Mając nożyk dla zabicia nudy w czasie wypasu bydła można było zabić nudę, strugając fujarki, kije i laski pasterskie, wiatraczki i inne proste zabawki, w tym także oręż niezbędny do improwizowanych potyczek

wojennych z rówieśnikami. Wiosną z miękkich gałązek wierzbowych chłopcy wykonywali fujarki, a ze ściągniętej wierzbowej kory skręcali trąby wydające buczące dźwięki. Były to znane od wieków instrumenty pasterskie, służące niegdyś pastuchom do przekazywania sygnałów i odstraszania wilków. Scyzoryk to także niezbędny atrybut niezwykle popularnej niegdyś gry zręcznościowej *pikuty*, zwanej też grą *w noża* lub *w nożyk*. Chłopcy grali w nią na pastwisku, w różnych miejscach w każdym czasie wolnym, pomimo zakazów nauczycieli w czasie przerw w szkole. Gra wymaga miękkiego lub piaszczystego podłoża. Uczestniczy w niej od dwóch do kilku graczy siedzących lub klęczących na ziemi, rzucających nożem po kolei. Gra polega na opieraniu czubka noża na kolejnych częściach ciała i stąd sprawnym przerzucaniem tak, aby ostrze wbiło się w ziemię. Poszczególne rzuty były następujące: *matka* – wykonany ze środka dłoni po stronie wewnętrznej, *ojciec* – ze środka dłoni po stronie zewnętrznej, dalej z palca małego, serdecznego, środkowego, wskazującego, kciuka, łokcia, ramienia, brody, ust, nosa, czoła, czachy (czubka głowy). Wygrywał gracz, który jako pierwszy zaliczył wszystkie poziomy. Na koniec

¹ S. Łukasiewicz, *Kraina lat szczęśliwych*, Warszawa 1970, s. 466.

gracz wykonywał trzy rzuty, trzymając ostrze kciukiem i palcem wskazującym. Te ostatnie rzuty nazywano czasami *pikutami*.

Inne popularne niegdyś, a dziś zapomniane gry zespołowe wiejskiej dzieciarni to *pikor* i *świn-ka*. Pikorem nazywano patyk długości ok. 0,5 m wsadzony pionowo w ziemię. Uczestnicy gry trzymali w dłoniach kije długości ok. metra. Wyznaczony przez los (wyliczanek) gracz stawał przy pikorze jako jego strażnik. Pozostali uczestnicy ustawiali się na mecie w odległości 10-15 kroków od pikora. Na dany sygnał gracze rzucali kije w kierunku pikora i natychmiast biegli po nie, aby wrócić z nimi jak najszybciej na metę. Zadaniem strażnika było chronienie pikora przed uderzeniem i przewróceniem, a jednocześnie dotknięcie swoim kijem któregoś z graczy, który wtedy przejmował pilnowanie pikora. Gra trwała tak długo, jak sobie życzyli gracze. *Świn-ka* nazywano mały kamień (czasami zastępowany piłką jak do palanta) *pasiony* przez pastucha, czyli gracza wyznaczonego w wyliczance. Wszyscy gracze ustawieni w jednej linii, w odległości około metra jeden od drugiego, trzymali kije w małych dołkach. Pastuch posuwał powoli *świn-kę* w kierunku dołków i starał się ją wturlać do któregoś. Jeżeli dołek był zajęty, to znaczy tkwił w nim kij, nie można było nic zrobić. Istota gry polegała na tym, ażeby gracz strzegący dołka zręcznym ruchem odbił *świn-kę* kijem i z powrotem wetknął kij do dołka, aby wcześniej nie zrobił tego pastuch. Stanisław Nienaltowski wspomina: *Powoli ogarniało wszystkich podniecenie. „Świn-ka” była tuż, tuż. Gracze o mało nie wyskakiwali ze skóry. Aż wreszcie ktoś nie wytrzymał i robił zamach kijem, aby odbić „świn-kę” precz. Na to tylko „pastuch” czekał. Jego kij zajmował w mgnieniu oka opuszczony dołek, którego niezbyt opanowany i mniej zręczny dozorca stawał się pastuchem*. I gra zaczynała się na nowo².

² S. Nienaltowski, *Wsi spokojna ...*, Ciechanowiec 2006, s. 23.



Dziewczęta karmią drób,
Kargoszyn, przed 1939 r.



Uczniowie z „Panią” przed budynkiem
szkoły w Kargoszyń, przed 1939 r.



Grupa uczniów z „Panią”, szkoła nr 5
przy ul. Wyzwolenia, Ciechanów, 1958 r.



Gucio demonstruje jak się robiło masło



Pola z odpustowym kogutkiem

Zabawy te były niezwykle popularne jeszcze w latach międzywojennych, ale już wówczas wypierał je palant. Do jego spopularyzowania przyczyniła się szkoła. W powojennych czasach dziatwa i młodzież chętnie grywała z *zbijanego* (zbijaka) i w *dwa ognie*. Zabawą zespołową zbliżoną do pikora była gra w *wojnę*. Wymagała ona gładkiej powierzchni gruntu, jak podwórko, plac wiejski czy boisko szkolne. Brało w niej udział czworo dzieci. Wyrysowane duże koło dzielono na ćwiartki. W miejscu przecięcia się granic ćwiartek narysowany był drugi okrąg, również podzielony na cztery części, które nazywano *morzem*. Na środku *morza* leżał patyk. Uczestnicy gry wybierali sobie nazwy państw i stawali w rozkroku nad linią większego okręgu. Gracz wyznaczony drogą losowania lub przez wyliczankę wymawiał formułkę: *Wymawiam wojnę, wojnę, wojnę ...* (i tu padała nazwa wybranego państwa). Wywołany tak gracz starał się jak najszybciej dobiec do środka koła, chwycić patyk i krzyknąć - stop! Kiedy padła nazwa państwa, pozostali uczestnicy starali się odbiec jak najdalej od koła, ale po okrzyku „stop” stawali w miejscu. Gracz z koła wybierał sobie „ofiara” i celował w nią patykiem. Jeżeli trafił,

starał się zagarnąć jak najwięcej terenu pokonanego, kreśląc nową granicę - stojąc w rozkroku na swojej ćwiartce. Jeżeli nie trafił patykiem w wybranego przeciwnika, ten zabierał ziemię wypowiadającemu wojnę i inaugurował kolejną rundę. Warunki zakończenia gry ustalano przed jej rozpoczęciem.

Popularną zabawą na trawie było pieczenie chleba. Stanisław Nienalowski tak wspomina: *Jeden chłopiec kładł się na wznak na smugu z wyciągniętymi wzdłuż głowy rękami, drugi zaś stawał bosymi nogami na dłoniach pierwszego, a ręce opierał o jego podniesione wtedy stopy. Leżący na smugu był łopatą, zaś opierający się na nogach i rękach tamtego pełnił rolę bochenka chleba. „Łopata” umieszczała „bochenek” w „piecu”, przerzuciwszy się jak najdalej od siebie.³ Wiosenną rozrywką chłopców było wybieranie jajek z ptasich gniazd. Jerzy Grzymkowski wspomina: *Łapaliśmy wróble w przemyślny sposób. Na kij u mocowało się przetak, którym zasłaniało się dziurę w strzesze, gdzie miały swoje gniazdo. Potem pod przetak wkładało się delikatnie rękę i wybierało się młode, a czasami i stare wróble. Polowanie takie**

³ S. Nienalowski, *Wsi spokojna ...*, Ciechanowiec 2006, s. 25.



Odpustowa rozkosz – dzieciaki z watą cukrową, Ślubowo, 2023 r.

urządzało się po zachodzie słońca, kiedy ptactwo już się ułożyło do snu. W jakim celu to robiliśmy? Dokładnie nie wiadomo. Prawdopodobnie dla sportu. Tak samo jak wiosną wybierało się na zalanych łąkach nikomu do niczego nie potrzebne jajka czajcze. Tak samo, jak wspinając się na wysokie, gładkie pnie sosen i topól, wybierało się z gniazd młode gapiaki. Niektórzy jadali młode wróble. Podobno, usmażone na maśle w całości (z kosteczkami i wnętrznościami), były bardzo smaczne⁴. Chłopcy z Ciechanowa urządzali podobno polowania na wróble na cmentarzu parafialnym. Przed półwieczem na mogiłach stało tam dużo krzyży wykonanych z metalowych rurek. W ramionach takich krzyży ptaki wiły sobie gniazda, skąd łatwo można je było o zmierzchu wyciągnąć. Oszalałe ze strachu ptaki wpuszczali psotnicy do mieszkań, radując się z wywołanego zamieszania. Wiele radości dawała ciuciubaka (ślepa gaca). Nie stronili od niej również dorośli. Początek

zabawy rozpoczynał dialog pomiędzy babką, czyli osobą z zasłoniętymi oczami a którymś z uczestników zabawy: - Gdzie babka idzie? – Do miasta - Po co? – Po kawałek ciasta. – Gdzie kury? – na grzędzie. – To szukaj nas wszędzie!

Szkolną i podwórkową zabawą dziewcząt i małych dzieci były klasy, gra sprawnościowa oparta na kombinacji skoków. Dla namiętnych uczestniczek gry w klasy niezwykle ważnym atrybutem było szkiełko służące do rzucania na kratownicę pól, narysowanych na ziemi. Za szczególnie atrakcyjny uchodził kawałek porcelanowej lub fajansowej skorupki z fragmentem barwnej kalkomanii. Ponadczasową zabawką dziewcząt są lalki, umożliwiające wymyślanie różnych zabaw. Dzieci ludzi zamożnych mogły się bawić artystycznymi cudeńkami, o których wiejskie dziecko nawet nie śniło. Do zabawy służyły im kukiełki uplecione własnoręcznie z trawy i słomy, wiązane i szyte z gałganów. Szczęściarą była właścicielka szmacianej lalki

⁴J. Grzymkowski, *Smak ulęgatek*, Warszawa 1970, s. 11.

wypchanej trocinami, kupionej na jarmarku, odpuście, uszytej przez matkę lub starsza siostrę. Dopiero po ostatniej wojnie szmaciana lalka z plastikową twarzą wyciskaną w sztancy, czasami z ruchomymi kończynami wykonana w całości z tworzywa sztucznego stała się powszechnie dostępną zabawką, oferowaną przez handel.

Szkoła zapewniała dzieciakom nie tylko edukację w wymiarze nakreślonym przez władze oświatowe. Podobnie jak niegdyś na pastwisku, tak teraz w szkole dzieci uczyły się od rówieśników różnych mądrości życiowych, nie zawsze co prawda wzniosłych, ale chętnie przechowywanych w pamięci. Któż ze starszych czytelników nie pamięta wierszyka: *Pierwsza klasa - gil do pasa, druga klasa - świnię pasa, trzecia czwarta - nic nie warta, piąta szósta - groch z kapustą, siódma klasa - same byki co umieją artmetyki*. Ważne postacie z historii ojczyzny utrwały czasami rymowanki: *Kazimierz Wielki nasrał babie w butelki; Stefan Batory nasrał babie we wiory*, itd. Dokuczliwym

kolegom można było odgryźć się wierszykiem, jak chociażby: *A jo wiem, nie powiem, co w łoszyńie trzeszczy. Koza wypuczyła dupe i na Zośkę wrzeszczy!; Tomcio paluszek nasrał w garnuszek; Jurek ogórek, kielbasa i sznurek, Jurek do piekła, kielbasa uciekła*, itd.

Wiele gier i zabaw poprzedzały wyliczanki czyli rymowane wierszyki, które wskazywały kto ma rozpocząć zabawę. Remigiusz Kawecki przypominał starą wyliczankę popularną przed wojną na Śmiecinie: *Fatera, matera, kluski gniut/ wyleciał mu z nosa glut/ a łun myślał że to dusa/ i nadstawił kapelusa*. Inne popularne wyliczanki, zapamiętane przez mieszkańców Ciechanowa to:

- *Pałka, zapalka, dwa kije/ kto się nie schowa ten kryje/ jeden, dwa, trzy, ... szukam* (przy zabawie w chowanego);

- *Siedzi baba na cmentarzu/ trzyma nogi w kałamarzu/ przyszedł duch, babę w brzuch/ a babula uch, uch, uch* (lub: *przyszedł duch, babę buch/ baba fik, a duch znikł*);



Ludzie, żebyście wy wiedzieli jak ja lubię lalki, Ciechanów, 2019 r.

- Na wysokiej górze rośło drzewo duże/ a zwa-
ło się to drzewo/ aplipaplibiteblau / a kto tego
nie wypowie, ten nie będzie grał;
- Tryumf, tryumf, misia bela/ misia, kasia konfa-
cela / misia a, misia b, misia kasia kon-fa-ce;
- Entliczek, pentliczek, czerwony stoliczek/ na kogo
wypadnie, na tego bęc (lub: na stoliczku jagoda,
jutro będzie pogoda);
- Poszła baba do piwnicy/ napisała na tablicy/
es es stary pies/ uka uka głupia suka;
- Raz, dwa, trzy, cztery/ maszerują oficery /
pięć, sześć, siedem, osiem/ stara baba dłubie
w nosie;
- Ele mele dutki / gospodarz malutki / gospodyni
garbata / a córeczka smarkata;
- Ene due like fake/ torba borba, osme smake /
eus deus kosmateus / i morele baks.

Formą zabawy były także zagadki, w większo-
ści zasłyszane od dorosłych. Poniżej przykłady
zagadek zebranych w okolicach Ciechanowa,
Sierpca i Płocka:

- Co to za zwierze, co łązi po polu (łące) i gubi
talerze (odp. krowa) / Co to za zagadka – bez
skóry i gnataka (masło lub gówno) / Pełna becka
wina, o obręców na ni nima (jajko) / Sundeczek
wina, a dziurki w niem ni ma (jajko)/ Leży bo-
chen między grochem (księżyc i gwiazdy) / Nie
je, nie pije, a chodzi i bije (zegar) / Bez rąk, bez
nóg i brzucha, a wszystko rucha (wiatr) / Dwaj
bracia całe życie się gonią, a dogonić się nie mogą
(oczy) / Dwaj bracia przez miedzę siedzą, a ni-
gdy się nie widzą (oczy) / Cterech braci wiecznie się
gonio, a dogonić się nie mogą (koła u wozu) /
Cztery tyki, dwa patyki, siódmy machaj (krowa
- nogi, rogi, ogon) / Dziesięć wołów ciugnie wóz
pod śmierzdzącą górę (dziesięć palców wciąga
portki na tyłek) / Siedzi pani na przypiecku,
mówi pacierz po niemiecku (kot) / Jadzie sowa
łot Krakowa, a ji z dupy kap, kap, kap (żarna) /
Wis, jakie dupe ma iz (kolącą, bo chodzi o jeża)
/ Koło uda jest paskuda, a w paskudzie grzebią
ludzie (kieszeń) / Byłeś w kościele? Zapytany



A może by tak zrobić masło? Ościsłowo, 2022 r.

odpowiada – Bylem. – Widziałeś księdza przez
głowy? (odp. prawidłowa – tak, za głowami ludzi
obecnych w kościele).

Przysłowia o dzieciach: Kto ma pszczoły ten
ma miód, kto ma dzieci ten ma smród / Małe dzie-
ci – mały kłopot, duże dzieci – duży kłopot / Nie
ucz ojca dzieci robić / Niech ci Pan Bóg w dzieciach
wynagrodzi / Bogatemu to i diabeł dzieci kołysze /
Dzieci i ryby głosu nie mają / Dzieci i długi rosną,
jak grzyby po deszczu / Matka co może to tka (daje
dzieciom), a macocha gdzie może, to cocha (od-
biera) / Matka dzieciaka słowem napasie / Matka
dzieci jedno jagodo obdzieli.

Przysłowia nawiązujące do dzieciństwa:
Zapumiał wół, jak cielokiem buł / Czym skorupka
za młodu nasiąknie, tym na starość trąci / Czego
Jaś się nie nauczy, tego Jan nie będzie umiał / Jaka
matka, taka natka, jakie drzewo taki klin, jaki ojciec
taki syn / Jakie jabłko taka skórka, jaka matka taka
córka / Jaka mać, taka nać.

Tomasz Czerwiński